

BIBiK

Biuletyn Informacji Bibliotecznych i Kulturalnych

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Łodzi



W roku bieżącym mija 50 rocznica debiutu literackiego Marka Nowakowskiego, którym było opublikowanie w sierpniu 1957 roku na łamach *Nowej Kultury* opowiadania *Kwadratowy*. Od tego czasu dorobek autora *Raportu o stanie wojennym*, trzech tomów *Powidoków* oraz powieści *Empire* rozrósł się do około sześciuset tytułów opowiadań, powieści, szkiców, małych form literackich. Marek Nowakowski to przede wszystkim mistrz krótkiej formy prozatorskiej, znawca i literacki strażnik, kronikarz odchodzącej Warszawy, przenikliwy obserwator kilkudziesięciu lat polskiej rzeczywistości, jej prześmiwca, krytyk pokazujący mielizny PRL-u ale też ułomności nowej rzeczywistości, tej po 1989 r. Autor penetruje tajemnice natury ludzkiej, przekazuje bogatą wiedzę o człowieku i jego losie, o swoistym łańdźcie opisywanych środowisk, ale także o wynaturzeniach, nihilizmie etycznym. Wciąga nas w losy ludzi, którzy chcą czegoś więcej, ale stają się bezradni wobec przeszkód, które napotykają. Pokazuje ludzi, którzy zamoczeni w swoim beznadziejnym życiu, dzięki tej beznadziei funkcjonują. Marek Nowakowski odsłania w wielu utworach siebie, pokazuje własną hierarchię wartości, wysoko podnosi poprzeczkę bytowania Tu i Teraz, jest bezkompromisowy wobec kłamstwa, obłudy, zacierania granic między dobrem i złem, prawdą i fałszem. Opisuje, przestrzega, idzie pod prąd. Pozostaje sobą.

Barbara Czajka
Dyrektor Biblioteki

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi

spotkanie autorskie
z prozaikiem

Markiem Nowakowskim

w ramach Dyskusyjnego Klubu Książkowego
działającego przy WiMBP

23 maja 2007 r.

sala konferencyjna (II p.)
Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
ul. Gdańska 100/102

Tak się zaczynało. Jest wieczór. Duży, czarny stół w środkowym pokoju we Włochach. Z jednej strony ojciec, obłożony zeszytami – sprawdza klasówki z matmy. Z drugiej strony stołu matka, też obłożona stosem prac uczniowskich, przygotowuje się do lekcji na następny dzień! A ja pośrodku. Piszę. Pierwsze opowiadanie napisałem w 1957 roku.

Tak się zaczynało (z tomu Empire, Warszawa : Twój Styl, 2001, s. 139-140)

I chyba od początku wiedziałem jedno, że jeśli człowiek bierze się do literatury, to nie może mówić półgębkiem, musi przycisnąć pedał i siebie nie oszczędzać. To jest do dziś moje rozumienie literatury.

Z wywiadu z Heleną Zaworską w kwietniu 1999 r. pt. *Jaka piękna ohyda* opublikowanym w tomie *Dobrze, że żyłem : rozmowy z pisarzami* (Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A. , 2002, s. 139-140)

Literatura przypomina trochę wyścigi: niby wie się, że ten czy tamten jest lepszy, ale faworyt nie przybywa pierwszy. Jego miejsce zajmuje ktoś inny – fuks. Wydaje mi się, że sprawiedliwość w sztuce jest niemożliwa. Co do mnie, nigdy nie chciałem sobie pomagać. Zdarzało się, że celowo ten „sukces” sobie utrudniałem. Najprzyjemniej – tak „po męsku” – człowiek czuje się, gdy bez żadnych pomocniczych środków to, co zrobił, zyskuje uznanie. To moja magiczna dewiza: strać się sobie nie pomagać, bo byłaby to nieczysta gra. Pisanie jest sprawą osobistą, można w nim być najbardziej suwerennym. Ale mimo to chcemy być czyści, bezinteresowni, to jednak drukujemy, puszczamy w obieg. Czyli może trochę kokietujemy, licząc na zrządzenie boskie, na dar Opatrzności, że nasza twórczość zabłyśnie wszystkimi kolorami tęczy. Próżność okryta parasolem skromności.

Z wywiadu z Piotrem Szewcem pt. *Podsycanie ognika* opublikowanym w tomie *Wolność i współzucie : rozmowy z pisarzami* (Wydawnictwo Literackie, 2002, s. 157-158)

Małgorzata Szymankiewicz

Typ urody człowieczej przeważa ohydny

Sylwetka Marka Nowakowskiego

Księcia nocy czytałam w nocy. Nie zważając na zmęczenie i ośpienie uparcie przerzucałam kartkę po kartce. Nie mogłam się oderwać. Czułam się niczym nastoletnia pensjonarka, która z wypiekami pod kołdrą czyta zakazaną książkę. Chłonełam historię *Księcia nocy*, którą Nowakowski - ot, tak (przynajmniej takie miałam wrażenie) - podzielił się z czytelnikiem. Bo kiedy Nowakowski pisze, to pisze na serio - to pisarstwo serio, dogłębnie szczere, często niewygodne. Długo nie mogłam sobie wytłumaczyć, dlaczego nie mogę usnąć po skończonej lekturze. Dziś to wiem.

Pierwsze sygnały płodności

Marek Nowakowski urodził się 2 kwietnia 1935 w Warszawie. 48 lat po debiucie opowiadania *Kwadratowy* na łamach "Nowej Kultury" (1957) można o nim bez cienia wątpliwości powiedzieć, że jest jednym z najpłodniejszych pisarzy literatury polskiej po 1945 roku.

Jego przygodzie z pisaniem, bo tak nazywa swoje pisarstwo, od najmłodszych lat towarzyszyły sygnały wysyłane przez jego otoczenie. Jego rodzice byli nauczycielami - ojciec matematykiem, matka polonistką. I choć ich działalność z tworzeniem literatury nie miała wiele wspólnego, pamięta jednak, że czynność pisania towarzyszyła mu w jego domu od najmłodszych lat. Kartki papieru, kałamarz, pióro to była codzienność, przeciw której buntował się na początku. Wolał wyprawy po swoim miasteczku dzieciństwa, Włochach, gdzie miał okazję spotykać różnych ludzi. Oni wysyłali sygnały istnienia sztuki w przeróżny sposób. Niezatarłe wspomnienie pozostawiła postać bezdomnego, zaniedbanego mężczyzny, który snuł się po ulicach jego przedmieścia. Przedstawiał się jako kompozytor, któremu się nie powiodło. Nowakowski wspo-

mina pewną szlachetność i natchnienie w jego twarzy. Spotkanie z nim było wtajemniczeniem w świat sztuki - pasji i ekstazy, którą może ona powodować.¹

Etatowy Komiwojażer Dołów

Przestrzeń przedmieścia szybko przestała Nowakowskiemu wystarczać - opiewaną w jego pisarstwie kolejką EKD wybierał się, często bez wiedzy rodziców, do zrujnowanej wojną, pełnej gruzów Warszawy. Tam spotykał rzeczywistość, jaką będzie opisywał w pierwszym okresie swojej twórczości - świat rozkładu, zniszczenia, nielegalnych knajp i szynków, do których chętnie zaglądał, szukając przygody. Dwa pierwsze tomu opowiadań - *Ten stary złodziej* (1958) i *Benek Kwiciarz* (1961) obrazowały świat marginesu, lumpów, prostytutek, doliniarzy i paserów. Doliny społeczne, które z fascynacją opiewał, były pełne okrucieństwa, ale i charakterystycznego kodeksu kumpłowskiego, według określenia Henryka Berezy², który wyznaczany jest przez wspólny interes, a nie jakiegokolwiek sentyment. Ten swoisty kodeks objawia się również pewien "heroizm moralny" (H. Bereza) - kategoria zdrady współnika w interesie jest najgorszym przewinieniem.

Nowakowski wkracza w świat, który jest diametralnie różny od tego, w którym się wychował (mieszczańskie ideały pracowitości, uczciwości) i zdaje się w nim, jako pisarz, doskonale czuć.

Na uwagę zasługuje również język, jakim pisarz operuje do opisu świata przedstawionego - barwny, soczysty, prosto z ulicy. Nowakowski, wychowany w innej kulturze słowa, bez cienia wątpliwości językiem doliniarzy i lumpów posługuje się mistrzowsko. "Każde słowo u Nowakowskiego jest bezwzględnie prawdziwe, bezwzględnie stylowe,

jedynie takie, jakie może być, jest absolutnie nie do zastąpienia, absolutnie niewymienne."³

Człowiek po polsku

W kolejnych tomach opowiadań - *Silna gorączka* (1963) *Trampolina* (wydana w 1964, napisana jeszcze przed *Silną gorączką*); *Zapis* (1965); *Goniłwa* (1967); *Mizerykordia* (1971); *Układ zamknięty* (1972); *Śmierć żółwia* (1973) według krytyków Nowakowski poszerza krąg peryferyjności - obok swoich stałych bohaterów opisuje również tzw. przeciętniaków - urzędników, sklepikarzy, fryzjerów. Opisuje ich przeciętność, nieważność. Pisarz pokazuje ich zwykłość, przeciwko której chcą się zbuntować, by móc sobie samemu odpowiedzieć, ile warte jest życie. Zaprzecząc swojej dotychczasowej egzystencji, staczają się na dno, by tam dążyć do prawdziwości - nawet jeśli ma to być prawda bezcelowego istnienia. Wraz z poszerzeniem kręgu bohaterów, zmienia się język pisarstwa Nowakowskiego. "W miarę życiowego i pisarskiego doświadczenia rzeczywistość przed moimi oczami szarzała i brzydła, a jej robaczywość i wyłazająca nieustannie spod cienkiej warstewki złudzeń niewola stwarzały mało możliwości do literackich parad i popisów. (...) I moje opisywanie świata stało się coraz bardziej oszczędne w słowa, unikające, nadmiernie jaskrawych kolorów, dążyło naturalnym biegiem doświadczeń do swoistej sprawozdawczości, czego koronnym dowodem są tomy *Zapis* i *Mizerykordia* (...). Wchodząc głębiej w materię, w której tkwimy, dążyłem do mocnego osadzenia opisywanych zjawisk w nędzy słów, zdań, obrazów, marząc o ich wierności wobec opisywanego życia."⁴

Do bólu o sobie

"Obficie przejawiający się w jego

dorobku nurt autotematyczny *Robaki* (1968); *Księżę nocy* (1972); *Chłopiec z gołębiem na głowie* (1979) zaświadcza o pojmowaniu własnej pozycji jako położenia "pomiędzy" - pomiędzy światem marginesu społecznego i centrum, do którego należy literatura, pomiędzy autentycznością lumpa i nieautentycznością ról podsuwanych przez kulturę oficjalną, pomiędzy barwnym acz dosadnym językiem półświatka i martwym językiem gazetowym czy literackim. W tomach *Raport o stanie wojennym* (1982-1984), *Notatki z codzienności* (1983), *Dwa dni z aniołem* (1984), *Wilki podchodzą ze wszystkich stron* (1985), *Grisza, ja ciebie skażę* (1986), tomach, z których pierwszy zapewnił mu europejski rozgłos, ukazał Nowakowski - portretując codzienne życie przeciętnych obywateli - proces historyczny, w wyniku którego całe społeczeństwo znalazło się na marginesie totalitarnego państwa ze względu na wyznawany i praktykowany przez siebie kodeks wartości.⁵

Wątek autotematyczny przewija się w tomach z przełomu lat dziewięćdziesiątych - w wydany w drugim obiegu tomie *Karnawał i post* (1989) Nowakowski podsumowując swoje dotychczasowe dokonania literackie na nowo konstytuuje swoją rolę jako pisarza - szarżownicę rzeczywistości należy opisywać szarżowniczym językiem.

W opowiadaniu *Bożydar* (tom *Grecki bożek*, 1993), który pogłębia nurt autotematyczny, Nowakowski idzie dalej. Siebie lokuje na peryferiach społecznych, "izolując się tym samym od wszelkiego zaangażowania i powierzając literaturze rolę przekazicielki prawd najbardziej drażliwych - samotności twórcy, biologicznego przemijania, bezwzględności jako reguły współżycia społecznego."⁶

Główna bohaterka

Nowakowski pozostaje przez lata wierny swojej głównej bohaterce - Warszawie. Obsesynie powraca do niej niemal w każdym opowiadaniu. Warszawa jest nieodłączną

przestrzenią działań wszystkich jego postaci. To Warszawa różna - tuż powojenna, stalinowska, ale i dzisiejsza. Warszawa obskurna, brudna, ale i salonowa, pełna politycznego blichtru. Przestrzeń miasta jest polem działania jego bohaterów, kryje ich tajemnice. Jednak sama stała się pełnowartościową postacią, którą pisarz ukochał. Sam Nowakowski twierdzi, że to nie przestrzeń, ale ludzie inspirują go najbardziej, jednak nie można zaprzeczyć, że dzięki ludziom Warszawa została nieśmiertelnością - jako pełnoprawny bohater.

Dzisiaj

Nową rzeczywistość przełomu lat 80. i 90., często rozczarującą, pisarz przedstawia w tomach *Homopolonius* (1992), *Grecki bożek* (1993), *Strzały w motelu George* (1997).

W *Greckim bożku* Nowakowski opisuje obraz kraju w całej jego złożoności z okresu rozpadu pozostałości starego reżimu.

Trochę później w *Powidokach* (1995, 1996) wraca do swoich dawnych tematów - powojennej, zrujnowanej Warszawy, przepętnionej kombinatorami, farmazonistami, dziwakami i "przestępcami z klasą". Powrót do raju utraconego, specyficznego w wydaniu Nowakowskiego, swoje dalsze odsłony ma w cyklu publikowanym w "Rzeczpospolitej" (ukazują się w tomie *Nekropolis*), w którym pisarz opisuje z nostalgią nieistniejące już miejsca, gdzie było mu dane spotkać postacie, które wywarły wpływ na jego pisarstwo, życie - czasem są one barwne, czasem szare, ale zawsze prawdziwe. Wraca do korzeni, bo jak twierdzi "życie bezkorzenne jest jałowe."⁷

Jego ostatni tom *Stygmatycy* (2005), przynosi dwa opowiadania (*Stygmatycy* i *Dawni poeci i muza*) oraz publikowaną już wcześniej groteskowa minipowieść *Honolulu*. W właściwym sobie stylu Nowakowski odsłania obraz kompromitacji inteligencji - w każdy sposób ujętej - tej uzurpującej sobie prawo do tego tytułu; inteligencji twórczej,

która stała się żalosna, mała, kabotyńska oraz tej inteligencji sprawującej władzę, która jest nieefektywna, nieprzydatna, bo nie potrafi kształtować swojego losu.

Obszary działalności

Obok prozy Marek Nowakowski pisał scenariusze filmowe - *Przystań* (1970), *Gonitwa* (1971), *Siedem czerwonych róż czyli Benek Kwiciarz o sobie i o innych* (1972 - ekranizacja sześciu opowiadań z tomu *Mizerykordia*). Jest również autorem słuchowisk radiowych - m.in. *Nul* - adaptacja opowiadania pod tym samym tytułem (emisja w Programie I Polskiego Radia w 2004 roku) oraz *Grzybobranie* - adaptacja opowiadania *Kiedy ranne wstają zorze* (słuchowisko z udziałem pisarza, emisja w Programie I Polskiego Radia w kwietniu 2005 z okazji jubileuszu 70-lecia).

Pisarzem być

Nowakowski "o sobie pisarzu" pisał wiele. We fragmencie opowiadania *Karnawał i post* najtrafniej ujął swoje pisarskie zadania. Ale można powiedzieć, że zadania pisarstwa w ogóle:

"Niegdyś polowałem na słowa - błyszczące kamyczki w szarym piachu, osobliwe, dosadne i zwariowane. Stop barwnych powiedzonek ludu w symbiozie z wynaturzoną nowomową gazet i przemówień działaczy partyjnych, żargonami technokratów, kryminalistów itp. Ten zabieg językotwórczy, zastósowany dla opisu zdewiowanej rzeczywistości, pełnej pustych pojęć, zdławionej w gorsecie propagandowego fałszu, wydawał mi się idealną formułą dla moich usiłowań pisarskich. Dziś myślę inaczej. Suchy, wypreparowany styl, pozbawiony ozdób i barwy, przypominający naukowe, specjalistyczne rozprawy czy raporty, nie pozbawiony jednak humoru i ironii, inkrustowany z rzadka jakimś słowem jak rodzynkiem - oto forma, która pociąga mnie coraz bardziej. (...) Po prostu w zetknięciu się z rzeczywi-

stością tęczowe pióra szarzejają, nawet spalają się na popiół. A jeżeli już pozostaną, będą jedynie teatralną dekoracją, makietą, pozorem. Nie mogę już, jak dawniej, bawić się, rozkoszować soczystością ludzkich postaci, efektownym dynamizmem zdarzeń, barwą i zapachem przyrody, pięknem życia. Ta rzeczywistość zbyt często jawi się cmentarnie. (...)”⁸

Przypisy:

¹ Por. audycja radiowa Elżbiety Łukomskiej "Pisarz - jego pasje i fascynacje. Marek Nowakowski"

² Henryk Bereza "Prozaiczne początki", Czytelnik 1971, str. 66

³ op.cit., str. 75

⁴ "Karnawał i post", Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1989

⁵ www.culture.pl

⁶ www.culture.pl

⁷ Wywiad Janusza Paliwody z Markiem Nowakowskim, "Lampa", nr 6, czerwiec 2005

⁸ "Karnawał i post", Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1989

http://www.terezin.europa-auschwitz.pl/studia/majstrowie/marek_nowakowski/typ_urody_czlowieczej_przewaza_o_hydney



Bibliografia

Marka Nowakowskiego

(wydawnictwa zwarte w wyborze)

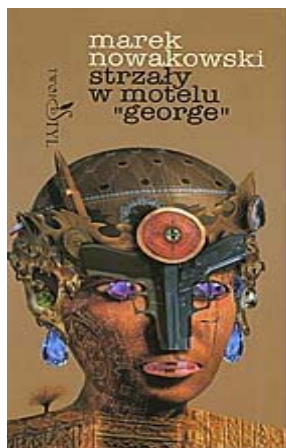
- *Ten stary złodziej*, 1958
- *Benek kwiaciarsz*, Czytelnik, 1961
- *Silna gorączka*, Czytelnik, 1963, 1972
- *Trampolina*, Czytelnik, 1964 oraz Alfa-Wero 2004
- *Zapis*, PIW, 1965
- *Marynarska ballada*, Czytelnik, 1966
- *Gonitwa*, Czytelnik, 1967
- *Robaki*, PIW, 1968
- *Opowiadania wybrane*, Czytelnik, 1969
- *Przystań*, Czytelnik, 1969 oraz Instytut Wydawniczy CRZZ, 1972

- *Mizerykordia*, Czytelnik, 1971
- *Układ zamknięty*, PIW, 1972
- *Śmierć żółwia*, Czytelnik, 1973
- *Gdzie jest droga na walne?*, PIW, 1974, 1979
- *Sielanka. Wybór opowiadań*, PIW, 1974
- *Wesele raz jeszcze*, PIW, 1974
- *Książę nocy*, PIW, 1978, 1986 oraz Versus 1990
- *Chłopiec z gołębiem na głowie*, PIW, 1979, Czytelnik, 2006
- *Tutaj całować nie wolno*, Chicago: "Polonia" Bookstore & Publishers Co, 1979
- *Lepszy*, Nasz Księgarnia, 1979, 1983
- *Zakon kawalerów mazo-wieckich*, Krag, 1982
- *Kto to zrobił?*, Nowa, 1982; Chicago: "Polonia" Bookstore & Publishers Co, 1987; Alfa, 1990.
- *Wesele raz jeszcze! Zdarzenie w miasteczku*, PIW, 1982 oraz Alfa, 2000
- *Opowieść o kocie gacku*, Nasza Księgarnia, 1982, 1990
- *Ten stary złodziej*, Benek Kwiaciarsz, wyd. 2, Czytelnik 1983
- *Notatki z codzienności* (grudzień 1982 - lipiec 1983), Paryż: Instytut Literacki, 1983 oraz Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1984; Czytelnik, 1993
- *Dwa dni z aniołem*, Paryż: Instytut Literacki, 1984 oraz Wega, 1985; Pomost, 1988; Poznań: Kantor Wydawniczy SAWW, 1990 (1 wydanie pierwszooobiegowe)
- *Wilki podchodzą ze wszystkich stron*, Chicago: "Polonia" Bookstore & Publishers Co, 1985 oraz
- *Łódź: Solidarność Walcząca*, 1987; PIW, 1990
- *Zapiski na gorąco*, Wydawnictwo Grupy Polityczne, 1986
- *Grisza, ja ciebie skażu*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1986 oraz Paryż: Instytut Literacki, 1986; Gliwice: Kos, 1988; Poznań: SAWW, 1990
- *Portret artysty z czasu dojrzłości*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1987 oraz Iskry, 1989
- *Karnawał i post*, Paryż: Instytut Literacki, 1988 oraz Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1989; NOWA, 1989; Iskry, 1990
- *Raport o stanie wojennym*, Paryż: Instytut Literacki, 1982 oraz NOWA, 1982; Oficyna Pokątnych Edytorów Niezależnych, 1983; Kraków: Biblioteka Wolnej Myśli, 1984; Kraków: Biblioteka Obserwatora Wojennego, 1984; Białystok: Versus, 1990
- *Wilki podchodzą ze wszystkich stron* (1985), PIW, 1990
- *Homo Polonicus*, Pomost, 1992.
- *Od Benka Kwiaciarsza do księcia nocy. Opowiadania wybrane*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1993
- *Grecki bożek*, Alfa, 1993
- *Honolulu*, Iskry, 1994.
- *Powidoki: Chłopcy z tamtych lat*, Alfa, 1995.
- *Tapeta i inne opowiadania*, Świat Książki, 1996
- *Powidoki: wspomnij ten domek na gęsiówce*, Alfa, 1996
- *Strzały w motelu "George"*, Most, 1997
- *Fortuna liliputa*, Alfa, 1997
- *Judasz na placu Defilad*, Rytm, 1997
- *Hades*, Lublin: Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, 1998
- *Reda*, ABC-Future, 1998

- *Powidoki 3: warszawiak pilnie poszukiwany*, Alfa, 1998
- *Prawo prerii*, ABC, 1999
- *Rajski ptak i inne opowiadania*, Twój Styl, 2000
- *Empire*, Twój Styl, 2001
- *Mój słownik PRL-u*, Alfa-Wero, 2002
- *Opowiadania uliczne*, Twój Styl, 2002
- *Strzały w motelu "George"*, Twój Styl 2003
- *Nul*, Alfa-Wero, 2004
- *To wolny kraj*, Twój Styl, 2004
- *Stygmatycy*, Prószyński i S-ka, 2005
- *Nekropolis*, Świat Książki, 2005

Nagrody literackie, odznaczenia

- 1968 Nagroda Fundacji im. Kościelskich
- 1982 Nagroda Kulturalna Solidarności przyznana przez Komitet Kultury Niezależnej; Nagroda "Pulsu"
- 1983 Nagroda Wolności francuskiego PEN-Clubu
- 1984 Nagroda Związku Pisarzy Polskich Na Obczyźnie; Nagroda Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku
- 2003 Nagroda Literacka im. Władysława Reymonta za całokształt twórczości
- 2006 Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski
- 2006 Złoty Medal *Gloria Artis* przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Krzysztof Górski

WYPISAĆ TAMTEN CZAS

Marek Nowakowski

Zna tysiące ludzi. Wielu z jego przyjaciół nie należy do wyższych sfer, a przez całe dziesięciolecia podtrzymuje z nimi stosunki. Niektórym nawet dedykował swoje utwory [...]

Wydał wiele książek; m. in.: "Silna gorączka", "Zapis", "Robaki", "Mizerykordia", "Gdzie jest droga na Walne", "Książę Nocny", "Chłopak z gołębiem na głowie". Pokazywał obrzydliwości ludzkiej natury, małość ludzkich postępów, poczucie zagubienia, bezsensu i beznadziei, straszne i śmieszne przejawy obyczajowości i bytowania w PRL-u. W nowych czasach też dostarcza strawy swoim czytelnikom. Wraca czasami do PRL-u, jak w powieści "Reda". Ale obserwuje też absurdy, śmieszności i niegodziwości nowej Polski. W tomie "Prawo prerii" pokazuje i pełnych pychy, pewnych siebie, prostackich nuworyszów, i ciemne mechanizmy funkcjonowania pewnych kręgów biznesu, i rozkoszników, pieszczących na majówce swoje nowe superauto, i tych, których w nowym ustroju dopadło ubóstwo, lecz z wytrwałym mozołem w barach mlecznych usiłują ocalić swoją godność. W zbiorze "Powidoki" z nostalgią opisuje barwne typy i zakątki nie tak dawnej jeszcze Warszawy. Były także pozycje słabsze, sam przyznaje, że wydał parę "zakalców". [...]

Napisał do tej pory około pięćset opowiadań. Jego pierwszy tom Marek Hłasko przywitał entuzjastyczną recenzją. Był doceniony przez krytykę, czytelnicy rozchwytywali jego książki. Jednak nie ma w nim nic z pyszałkowatej wyniosłości ani (co jeszcze gorzej) protekcyjności ludzi sukcesu. Jest urzekająco bezpośredni. Sześćdziesięciopięcioletni dziś Marek Nowakowski wydaje się

wciąż pełen młodzieńczego wigoru i zaciekawienia światem jak wówczas, gdy buszował po warszawskim Śródmieściu, zaś swoje bystre obserwacje przetwarzał literacko w prozę barwną, bujną, żywiołową, pulsującą życiem, rozpalającą wyobraźnię kolejnych generacji PRL-u i podsycającą apetyty na poszerzenie sfery wolności.

Gdy użyć sformułowania "ludzie marginesu" w odniesieniu do bohaterów jego prozy, Nowakowski reaguje rozdrażnieniem. Ma rację. Przesadą jest mówić, że korowód jego postaci to świat wykolejeńców, złodziei, paserów i prostytutek. To w dużej mierze świat ludzi szarych, trochę dobrych, trochę złych, zaplątanych w swoje egoizmy i małe pragnienia, a także ludzi skrzywdzonych i odrzuconych. - Myślę, że przede wszystkim interesowali mnie ludzie, którzy chcieli jakoś żyć po swojemu, co jest antidotum na uniformizację typową dla systemów komunistycznych - mówi pisarz. - Żyli pokracznie, często nieudolnie, dziwnie, śmiesznie, tragikomicznie, ale inaczej.

W wielu opowiadaniach Marka Nowakowskiego są wątki autobiograficzne. Jednakże prawda z wyobraźnią, rzeczywistość z fikcją literacką przeplatają się w sposób na tyle zawily i nieodgadniony, że popełniałby błąd ten, kto próbowałby odtworzyć sobie prawdę o autorze na podstawie jego prozy. Pisarz zniechęca do takich wysiłków. Sam opowiada o swojej przeszłości.

Chłopak z przedmieścia

Dom w podwarszawskich Włochach, w których wyrastał, był domem surowych zasad i porządku. Ojciec Antoni Nowakowski, człowiek jeszcze dziewiętnastowieczny, urodzony w zaborze rosyjskim, za swoje największe przeżycie uważał wybuch niepodległości. Był zafascynowany osobą marszałka Piłsudskiego. Społecznik i pedagog, nauczycielem został z powołania, później był kierownikiem szkoły powszechnej. Nazwał ją imieniem marszałka Piłsudskiego. Na parterze stało brązowe popiersie Komendanta. Budowę szkoły zaczął w 1930 r. Zbierał pieniądze ze składek społecznych w zielonym zagłębiu Warszawy: Włochy, Pruszków, Michałowice. W tym samym czasie proboszcz budował świątynię. Równocześnie więc powstawały dwa fundamenty życia: szkoła i kościół. Antoni Nowakowski organizował zabawy dla rodziców, uczniów i dla całego miasteczka. Dochód był dzielony po równo na kościół i szkołę. Nauczycielem był pryncypialnym, wymagającym, surowym ale sprawiedliwym. - Ojciec miał już dobrze po osiemdziesiątce - wspomina dziś Marek Nowakowski - a tu raptem na ulicy jeden z jego uczniów, trochę podpity, rzuca się na niego, obejmuje, całuje z czułością i powiada: panie kierowniku, pan mnie nie puścił z klasy do klasy, ale pan mnie tym czegoś nauczył; ja się potem naprawdę przykładałem. Matka Stanisława również była na-

uczycielką. Ale także i sam Marek jako młody chłopak był po wojnie przez krótki czas "nauczycielem". Uczył kolegów, którzy nie umieli czytać. Zorganizował spontaniczny kurs dla przyjaciół furmanów, węglarzy, młodych chłopaków z przedmieścia. Ojciec nie był zwolennikiem nowego porządku, ale uważał, że należy się w powstałych ramach zająć pracą organizacyjną. Był legalistą. Państwo było dla niego wielką wartością. Chociaż złe, ale jednak państwo. Pamiętał czasy zaborów.

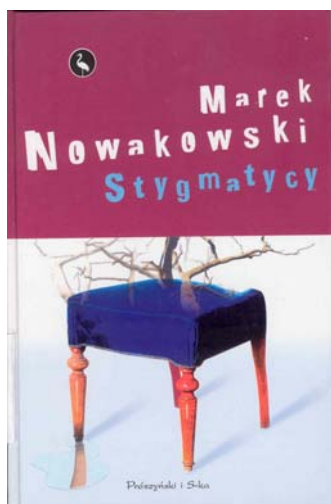
Żywiół życia

Kiedy miał 16 lat, na mgnienie oka zafascynowało go ZMP. Czuł się prawie jak Dzierżyński. A potem odfascynowało. I rzuciło w zupełnie inną stronę. Szukał nowych ścieżek w tym spontanicznym pędzie po życie. - Były w tym może po trosze bunt i prowokacja młodego szczenięcia, przekora wobec rodziców - stwierdza Nowakowski. - Fakt, że chciałem zgłębiać ciemne strony życia, też był rodzajem prowokacji, ojciec przecież był legalistą. Nie czułem się jakimś walczącym wojownikiem, ale mnie oficjalne ramy po prostu kompletnie nie interesowały. Szukałem swojej własnej niszy, jakiejś enklawy, jakiegoś azylu. Po omacku, na ślepo szukaliśmy dla siebie przywódców, bohaterów, którzy pokażą nam drogę i poprowadzą. Uwielbialiśmy wszystkich zbuntowanych, chodzących własnymi ścieżkami. Z emocją szepotaliśmy o Burmistrze i jego kolegach, którzy konspiracyjnie zbierali się przy kościele św. Barbary i chcieli walczyć, ale z podobnym zachwytem mówiliśmy o znanych rzeźmieszkach, którzy w czujnie kontrolowanym świecie wymykali się pogoniom. Dom z tego okresu pamięta jako taki, który dawał poczucie bezpieczeństwa. Do domu się wracało i w nim lizało się rany. I było się przyjmowanym. Z wyrzutami, z krzykiem, ale jednak. - Miało się swoją pieczęć - powiada. Zanim zaczął pisać, miał jeszcze parę istotnych doświadczeń. Pracował cztery miesiące na dole

w kopalni Rybnickiego Zjednoczenia Węglowego. Miał tam wypadek: złamany palec. Kopalnia to była dobra szkoła. Ciekawe doświadczenie, ciekawi ludzie, zwłaszcza. Mieszkali w pięcioosobowych pokojach w hotelu górniczym. Ten kwartał zaowocował w późniejszych czasach opowiadaniem "Chamuś" - o wieśniaku, który ruszył na zew górniczy, żeby się dorobić, bo tam dobrze płacili. Nowakowski skończył też studia prawnicze, aczkolwiek bez tytułu magistra. Nie traktował ich całkiem serio, ani myślał być sędzią, prokuratorem czy adwokatem. Znał wymiar sprawiedliwości i wiedział, co o nim myśleć. - Te studia to był prezent dla ojca, który był człowiekiem porządku - zauważa dziś.

Pierwszy krok i następne

Zaczął pisać pod wpływem doznań, przeżyć, skumulowanych emocji. Nie chciał być zrazu zawodowym pisarzem. Uważał, że zawodowość jest zaprzeczeniem pisania z wewnętrznej potrzeby. Na początku chciał, żeby pisarstwo było tylko dodatkiem do życia. Z biegiem lat stało się jego głównym nurtem. Debiut w 1957 r. został przyjęty bardzo dobrze. Najpierw opowiadanie "Kwadratowy", drukowane m.in. na łamach "Współczesności", a także "Twórczości", co już było, jak na owe czasy, pewną nobilitacją. Potem tom opowiadań "Ten stary złodziej". Z jednej strony był sukces, z drugiej jednak kręcenie nosem. Młody pisarz nie stał się ulubieńcem władzy. Zaczęto kojarzyć go z Markiem Hłaską, a to był czas, kiedy Hłasko po wyjeździe do Paryża nie został wpuszczony z powrotem. Skojarzenie było proste: widzenie rzeczywistości przez pryzmat samych złych stron, czarnowidztwo. Nowakowski wspomina dziś Hłaskę z dużą sympatią, nie tylko dlatego, że ten, jako już znany młody prozaik, napisał debiutantowi entuzjastyczną recenzję wewnętrzną. - Hłasko był dla mnie ważnym przeżyciem, bo wprowadził literaturę ulicy - stwierdza. Po 1956 r. jego teksty drukowane w "Po prostu" czytałem z dużym zainteresowaniem.



Był na pewno szalenie utalentowanym pisarzem. Ale ja nie czuję z nim pokrewieństwa. Może o tyle tylko, że on i ja sięgaliśmy po tematy ulicy. Ale inaczej to wszystko widzieliśmy. Hłasko był sentymentalny, rzewny, rozdzierający serce i szaty: kłopoty, bieda, nieszczęśliwi kochankowie.

Ja patrzę na życie bardziej zimno. Od początku więc Nowakowski był zarazem głaskany i trzymany na krótkiej smyczy. Miał sojuszników w kręgach krytyki literackiej, np. bardzo go chwalił Henryk Bereza. Z drugiej strony prowadził boje z wydawnictwami. Zaniżano nakłady, nie wznawiano, żeby zbyt nie rozpowszechnić zbiorów, które, tak jak "Ten stary złodziej", były rozchwytywane na pniu. Umowa z "Iskrą" na wydanie "Benka Kwiciarza" została przez wydawnictwo zerwana. Tego i innego typu figli płatano mu wówczas i później więcej. Ale pisarz nigdy nie dramatyzował, nie popadał we frustrację, nie zniechęcał się. Pisanie było niezależne: wydrukują, to wydrukują, nie, to nie. Przyjął też pewną zasadę: "nigdy sobie nie pomagać". - To jest taka męska czysta gra - stwierdza. - Człowiek się najlepiej czuje, gdy bez żadnych środków pomocniczych to, co robi, zyskuje uznanie. Pisanie jest sprawą osobistą, musi być niezależne, można w nim być najbardziej suwerennym. Dlatego Nowakowski unikał różnego typu uzależnień, mocodawców, był po troszę outsiderem. - Mając etat, ryczałt, zaczyna się już być w jakimś kręgu, choćby w kręgu wynagradzania. A ja dostawałem pieniądze tylko za to, co wydrukuję: to jest na pewno czysta sprawa i na pewno to mi pomogło - stwierdza.

Obywatel prozaik

Pisarz dość wcześnie, bo jeszcze przed 1968 r., znalazł się w nurcie kontestacji. Coraz częściej nękała go cenzura. Ważnym momentem był dla niego marzec 1968 r. Napisał błyskawicznie książkę dotyczącą wydarzeń tamtego okresu pt. "Jak zazdroszczę Cyganom". Było w niej i o sterowanym odgórnie partyjnym antysemityzmie, i o wy-

mianie starego garnituru partyjnych na nowy. Fotokopie stronicek były przemycone do Jerzego Giedroycia. Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński i Konstanty Jeleński bardzo nalegali, żeby to momentalnie drukować. Mimo jednak, że taka natychmiastowa reakcja na to, co się działo w Polsce, byłaby prawdopodobnie wybuchem literacko-politycznym, przynoszącym zarazem splendor i profity samemu pisarzowi, Nowakowski nie zdecydował się na druk, uznając, że książka jest słaba literacko. Poszczególne opowiadania były w późniejszym okresie drukowane na łamach "Kultury" pod pseudonimem Seweryn Kwarce. Nowakowski włączył się też w powstawanie polskiego niezależnego obiegu. Publikował w wydawnictwach niezależnych. Był współtwórcą i przez jakiś czas członkiem zespołu redakcyjnego "Zapisu". Pod koniec lat siedemdziesiątych był też członkiem Zarządu Głównego ZLP. W 1981 r. na zjeździe ZLP mówił o obłudzie PRL-u: "Widziałem świat fikcji i kłamstwa, zgody na wszystko zło i apoteozy wszystkiego zła. Ludzie z tego świata obrastali w piórka, rangę i znaczenie (...). Obserwowałem pustynne zniszczenie w społeczeństwie, panowanie niby kultury opartej na kiczu i telewizji. W efekcie wyrastali jałowi ludzie, stwory zredukowane do kilku czynności, według recepty: zreć, chlać, kraść i tak kręcić". Stwierdzał wówczas, że trzeba patrzeć władzy na ręce, i dodawał, że obowiązkiem pisarzy jest nie poddać się zaleceniom o rozsądku i rozwadze. "Starać się trzeba wypisać tamten czas, dokopać się do dna tamtych lat. Do samych przegniłych korzeni" - mówił. Postulat patrzenia władzy na ręce przyszło realizować w nowych okolicznościach. Wprowadzono stan wojenny. Nowakowski opisywał ten czas. Pod nazwiskiem, nie pod pseudonimem. Niektórzy koledzy się dziwili. I doczekał się. Od marca do czerwca 1984 r. był więziony pod zarzutem szkalowania PRL i ustroju socjalistycznego we współpracy z zagranicznymi

ośrodkami dywersyjnymi. W jego obronie występowało wówczas wiele osób, między innymi przebywający w Ameryce Leopold Tyrmand. "Raport o stanie wojennym" został przełożony na dziesięć języków i uznany na Zachodzie za najbardziej rzetelne literackie świadectwo tego okresu dziejów Polski. Nowa Polska zrehabilitowała "przestępcę" Nowakowskiego. Kilku panów wzięło samochód i przywiozło z powrotem do domu pisarza książki, maszynopisy, rękopisy i inne przedmioty zabrane podczas rewizji w tamtych czasach.

Warto dalej żyć

Nowakowski nie ufa postkomunistom, sądzi, że nie mają sposobu na Polskę, a jedynie na władzę. Z kolei bliska mu prawa strona sceny politycznej prezentuje się żałośnie, ze swoimi niekończącymi się przetasowaniami. Polsce brak zdaniem pisarza odpowiedzialnych ludzi na poziomie, o jakim marzył Piłsudski. Zdaniem Nowakowskiego błędem było, że tak łagodnie, po franciszkańsku, potraktowano dawną warstwę rządzącą. Formacja wyrosła ze starych czasów stała się beneficjentem w nowych czasach. Patriotyzm dziś określa Marek Nowakowski jako umiejętność podporządkowania się interesom szerszej wspólnoty, silnego państwa. W prywatnym sensie rozumie go nieco inaczej. Powiada: - Tu jest atmosfera: czy dobra, czy zła, ale moja. Ja tą atmosferą oddycham, ona mnie żywi. Ona mnie oburza i cieszy. Ale jestem u siebie. Jestem zakorzeniony w przeszłości, w życiu mojego ojca, mojego dziadka. To jest mój fundament. Nie dostrzegam żadnych antenatów swojej "warszawskości". Nie jest nim ani Tyrmand z powieścią "Zły", ani Wiech, ani tym bardziej Stanisław Grzesiuk. "Warszawskość" wynika po prostu z życia, to był teren jego penetracji. Jest całe mnóstwo pisarzy, których lubi, do których wraca, choć niekoniecznie czerpie z nich coś więcej niż frajdę czytelniczą. Są wśród nich Proust, Celine, Tolstoj, Bunin, Faulkner, Dos Passos. Czytał Balzaka, Maupassanta, lubi Iwaszkiewicza. Nie ceni powieści erudycyjnej w rodzaju Umberto

Eco. Za wielkiego pisarza uważa Sienkiewicza. Nie ma komputera. Od lat pisze ręcznie na papierze. I tak już zostanie. Ma wyśmienity słuch językowy, a muzyka mogłaby dla niego nie istnieć. W pokoju jest wprawdzie gramofon, solidny, starego typu i masa płyt długogrających. Ale muzyki raczej słucha żona. - Może to zabrzmieć barbarzyńsko - powiada - ale muzyka nigdy specjalnie nie była mi potrzebna. Na ścianach wiszą obrazy nieżyjących przyjaciół pisarza: Jerzego Stajudy i Jana Lebensteina, m.in. grafiki z "Folwarku zwierzęcego" Orwella. Obok gobelin z motywem z Pisma Świętego tkany w dawnych latach przez pastora ewangelickiego. Czy jest optymistą, czy pesymistą? Nie odpowie. Uważa, że opozycja optymizm - pesymizm jest głupia. Natomiast ma w sobie radość życia. Powiada: - Dziwię się, że tyle lat żyję. Dociągnąłem do wieku, który dawniej w moich rachubach był wiekiem Matuzalema. Myślę, że warto dalej żyć, potykać się, patrzeć, obserwować. Może coś z tego w pisaniu zaowocuje, może nie, ale warto ten pojedynek toczyć.

Na podstawie:

<http://niniwa2.cba.pl/novakowski.htm>



Marek Nowakowski dla
DZIENNIKA

"Oskarżam!"

"Oskarżam!" - tak zaczynał się słynny list Emila Zoli w obronie Dreyfussa. Ze względu na powagę obecnej sytuacji mam prawo zacząć w ten sam sposób. Emil Zola występował w obronie niewinnie skazanego człowieka - jednostki. Mnie chodzi o całe społeczeństwo - pisze w DZIENNIKU Marek Nowakowski.

O wszystkich obywateli Polski. Kraj nasz od 17 lat nie może się pozbyć upiórów przeszłości. Zaczęło się od oporu stawianego dekomunizacji. Kim byli jego inicjatorzy? Dlaczego z taką determinacją bronili ubecków i dygnitarzy partyjnych? W nie swoim imieniu nie swoim winowajcom wybaczyli wspaniałomyślnie komunistyczne przewiny. Kto pozwolił trwać - bez skruchy, bez obietnicy poprawy, w poczuciu błogostanu i bezpieczeństwa - w nowej Polsce agentom jawnym i tajnym, łotrom mniejszym i większym? Kto zapewnił im komfort psychiczny - bez odpowiedzialności, bez wyrzutów sumienia? Kto potem walczył zaciekle z lustracją, pozostawiając w nienaruszonej postaci matecznik konfidentów, tajnych współpracowników, donosicieli i kapusiów? Kto bronił ich dawniej i broni dzisiaj z takim zaangażowaniem, jakby sam był członkiem tego samego cechu?

Kto przez lata opluwał zwolenników dekomunizacji i lustracji? Kto wprowadził do politycznego żargonu słowo "oszołom"? Wszelkie próby personalnego rozliczenia z przeszłością przez lata zakrzykiwał rozwścieczony chór. Argumentów używano bez liku: od chrześcijańskiego miłosierdzia po pragmatyczny realizm, nakazujący rzekomo zapomnienie przeszłości i wybór przyszłości.

Siłą rzeczy zrodzona przy takim oporze jej przeciwników ustawa lustracyjna była niedoskonała. Ale była. Wiele lat czekaliśmy na jej wejście w życie. Były to zmarnowane lata. Degrengolada moralna została w tym czasie nobilitowana. Ludzie z brudną przeszłością, początkowo niepewni swego losu i wystraszeni jak szczury wykurzone z nor, nabrali wiatru w żagle. Rozpoczęli wielki marsz przez instytucje - po władzę i pieniądze. Czuli się nietykalni. Warunki dla swojej aktywności mieli wspaniałe i do tychczas nie wiemy, ile pierwszoplanowych karier w III RP rodowod swój wywodzi z ubeckich teczek. Nie wnikając w pobudki, które nimi kierowały podczas współpracy z bezpieczeństwem, mamy niezachwianą pewność: tajni

współpracownicy byli najczęściej ludźmi słabymi, tchórzliwymi, cynicznymi. Nierzadko nikczemnymi i pozbawionymi hamulców etycznych. Szkodzili uczciwym, rzetelnym Polakom. Nie tylko szkodzili: często rujnowali im życie. Czy tacy ludzie mogą sprawować odpowiedzialne urzędy w wolnej Rzeczypospolitej?

Z takim bagażem przeszłości ludzie tego rodzaju wnieśli do nowej Polski relatywizację prawdy i kłamstwa, dobra i zła. Każdy zdemaskowany kapuś woła dziś głosem pełnym oburzenia: mojateczka została spreparowana, raporty zmanipulowane. A jego głos nie pozostaje bez odzewu. Przychochodzą mu w sukurs niektórzy dziennikarze, intelektualiści i kapłani uzurpujący sobie prawo do tytułu autorytetów i sumienia narodu. Wygłaszają tyrady o dramatach ludzi niesłusznie posądzanych, o nieszczęściu i rozterkach autentycznych konfidentów. Powinniśmy jakoby bez wahania podać im pomocną dłoń. A co z ofiarami donosów, co z rzeszą pokrzywdzonych, okaleczonych, zniszczonych, domagających się bezskutecznie odsłonięcia prawdy o PRL? O tych ludzi antylustratorzy się nie martwią. Taką zafundowali nam Polskę.

Od roku czynione są skuteczne próby oczyszczenia postkomunistycznej stajni Augiasza. IPN wreszcie zaczął spełniać swoją rolę. Odsłania dramatyczną prawdę o niejednym politycznym mento-rze i nauczycielu demokracji. Ale potęgi starego porządku wciąż czuwają, żeby prawda nie wyszła na światło dzienne.

Od Adama Michnika i klonów środowiska ROAD po abp. Życińskiego i „Tygodnik Powszechny” trwa antylustracyjne czuwanie. Dopóki nie pozbedziemy się ich czujnego nadzoru, kapuś egzystować będzie jako święta krowa, tak samo zresztą jak jego mocodawca. Obaj będą rechotać szyderczo: chcieliście wolnej Polski, to ją macie!

Na podstawie *Dziennika* z dnia
9 stycznia 2007 r.

<http://www.dziennik.pl/Default.aspx?TabId=14&ShowArticleId=27386>

Jerzy Gizella

Marka Nowakowskiego obrachunki z przeszłością

Sylwetki pisarza Marka Nowakowskiego nie trzeba czytelnikom szerzej przypominać. Na jego prozie wychowały się co najmniej dwie generacje wchodzące w życie w latach 1960-1980. Bibliografia autora zawiera ponad 70 pozycji zwartych: scenariuszy, tomów opowiadań i powieści, nie mówiąc o wznowieniach i przedrukach, zwłaszcza w oficynach podziemnych w czasie stanu wojennego. W zeszłym roku ukazała się proza *Empire*, w tym roku *Mój słownik PRL-u* - najpierw drukowany w *Rzeczpospolitej* (cykl *Powidoki*, 1997 r.), *Dzienniku Polskim*, *Liście Oceanicznym* (także pod nazwą *Słownik*). Drukowane osobno hasła uderzały celnymi i lapidarnymi fabułami, PRL-em w pigułkach, epilogami, które wywracały na nice wysiłki komunistycznych kolonizatorów. Czytane w całości, jednym ciągiem, nie straciły swojego blasku, a nawet wobec coraz powszechniejszej choroby amnezji i klajstrowania przeszłości - zyskały.

W czasie przeprowadzonym w 2000 roku przez Wirtualną Polskę Marek Nowakowski zapowiadał, że pracuje nad mikropowieścią, która niebawem skończy, i ujawnił jej tytuł roboczy: *Empire*. Tytuł od razu przywoływał z pamięci jego wczesna proza: *Benka Kwiciarza* czy *Księcia Nocy*. I w pewnym sensie jest nawrotem do tej tematyki - ale czymś jeszcze więcej: to po pierwsze przypowieść literacka, tak jak wcześniej - wielowarstwowa i wielowątkowa, napisana zgrabnie, piękną, klarowną polszczyzną, i - czego krytycy z czasów PRL-u woleli nie zauważać - sięgającą do tradycji polskiej i światowej literatury. Obeznanym z naszej klasyki czytelnik szybko rozpozna w niej atmosferę podmiejskich krajobrazów podwarszawskich z prozy Stanisława Rembeka i Mirona Białoszewskiego (!) oraz bardziej odległych w czasie i przestrzeni - Sergiusza Piaseckiego, Józefa Mackiewicza czy przedwojennych autentystów: Zbigniewa Uniłowskiego i Henryka Worcella. Nie od rzeczy może sięgnąć do prozy Brunona Schulza czy Andrzeja Kuśniewi-

cza. Cóż ma jednak Galicja i C.K. monarchia do prozy Nowakowskiego? Ma, i to wiele. Wystarczy nazwiska Józefa Rotha (*Marsz Radetzky'ego*) czy Roberta Musila (*Niepokoje wychowanka Törlessa*). Jeśli się w tej zabawie w skojarzenia pojawia nazwiska Witolda Gombrowicza (*Ferdydurke*) czy Emila Zegadłowicza (*Zmory*) - nie będą przesadne. *Empire* to przypowieść o dojrzewaniu, o inicjacji, pełna metafor, nawiązań i aluzji do całego gatunku tego typu prozy, w tym Iwana Bunina i Izaaka Babla, szczególnie z *Opowiadań odeskich*. To tylko jedna warstwa. Podróż w czasie nie kończy się na Odesie, na czarnomorskich i śródziemnomorskich korsach - prowadzi nas w przeszłość Greków i Rzymian, w świat starożytnej historii, łaciny i legionów, akweduktów i bohaterów mitologii. Jeśli mówi się o trzech filarach zachodniej kultury: greckiej filozofii, rzymskim prawie i chrześcijaństwie - dwa pierwsze mają w *Empire* epicką i logiczną ciągłość - brakuje tylko trzeciego.

"Empire" to w warstwie faktograficznej nazwa przedwojennego warszawskiego hotelu. To synonim świata, który uległ zagładzie, przestał istnieć w powojennej, komunistycznej rzeczywistości. Wszyscy bohaterowie należą do tego świata - próbują w nim żyć, ocalić wspomnienia, odseparować się od okrutnej, siemiennej i beznadziejnej rzeczywistości. Uciekają w przeszłość, szukają w niej ratunku, karmią siebie i swoje otoczenie egzotyką i mitologią, w tym także rodziną. Ojciec (Edek, Odys), matka (Penelopa, bezimienna) i syn Henryk (Hektor) spleceni więzami uczuć i zależności, do których pasują dobrze zarówno teorie psychoanalityczne, jak i modne egzystencjalne. Jest tu wszystko, co już od *Buddenbrooków* prowadzi nas do *Śmierci w Wenecji* i *Stu lat samotności*, przemijanie w czasie i w pamięci pokoleń. Getry, rękawiczki z pekari, lakiarki - "zbroja niepokonanego rycerza", który "nudną codzienność" potrafił "przemienić w świąteczne widowisko". Sakralizacja codzienności - także jako ucieczka przed sobą, przed strachem, rekompensata niskiej samooceny i klęsk. To



sata niskiej samooceny i klęsk. To przecież zawód i funkcja iluzjonisty, opowiadana ze swadą i wilgotnym rozmarzeniem w oczach przez ojca. Potężna dawka trucizny dla młodego, żądne go przygód, dalekich podróży i odważnych czynów dorastającego młodzieńca, dla którego ojciec staje się jedynym autorytetem. Wyprawy na Lazurowe Wybrzeże, kasyna, wielki książę Michajłowicz, buty zamawiane na miarę "u mistrza Hiszpańskiego", wreszcie tajemniczy "tygrysi skok" - "pałeczka w sztafecie pokoleń". Orient Ekspres z Paryża do Stambułu unoszący bogate, żadne egzotyki i romansów towarzystwo. A zamiast AK i Katynia - książę Gaba Gawaridze, wygnaniec z sowieckiej Gruzji i córka amerykańskiego magnata giełdowego - replika wielkiej miłości ojca, iluzjonisty i globtrotera, do bogatej i pięknej dziewczyny "jedynaczki i spadkobierczynie niebagatelnej fortuny", która "porzuciła rodzinny dom, narzeczonego ze swej sfery i nie bacząc na anatemy, samodzielnie ruszyła w życie". I choć matka wszystkiemu zaprzecza, kpi z ojca, sztydzi z niego - syn wierzy mu bezkrytycznie i w nim widzi wzór do naśladowania, a opowieści o "Empire", skandalach, schadzках i fortunach, które przecho-

dziły z rąk do rąk w ciągu jednej nocy - rozpalają wyobraźnię i w matce każą widzieć osobę obcą, z innego, gorszego, bo przyziemnego świata.

"Empire" - to "blichtr raj utraconego", ale tak opowiadany, że każde słowo zapada w pamięć i wyobraźnię, w końcu syn zaczyna wręcz naśladować styl myślenia ojca i na szydercze, kipiące jadłem o gładzeniu i bajdach ojca uwagi matki - syn wygłasza wprawiając matkę w osłupienie tyradę obronną na cześć fantazji przeciwstawionej "beźmyślnej roślinności". Tym bardziej zresztą broni ojca, im bardziej wyczuwa, że między rodzicami toczy się nie tylko wojna na słowa, ale kryje się prawda o małżeństwie, której nie chciałby poznać, o której jednak przypomina mu brutalnie kolega z klasy, Wojtek, "nienawidzący książek i zmyślonych bredni". Ostatnim azylem dla wizjonerów staje się miejscowa knajpa "Pod Wiaduktem", nazywana przez krąg prof. Wernera, łacinnika i miłośnika kultury starożytnej (tłumacza Cicerona) oraz jego wiernych uczniów - "Pod Akweduktem". To jakby katastrofa w dramacie i punkt zwrotny w życiu Henryka-Hektora. Sceptycyzm profesora ("skończyła się moja epoka") i szkolnego kolegi ("cierń głęboko wbity w ciało i ropiejący") zaczyna chwiać podstawami wiary w przeszłość i starożytność; późne powroty matki i głośnie w miasteczku plotki podważają wiarygodność ojca. Henryk chce wreszcie poznać tajemniczy "Empire". Jedzie do Warszawy, pełnej ruin i obcych żołnierzy. Tu mit i prawda zbiegają się w opowieści starego hotelowego pucybucha. Legenda hotelu "Empire", gdzie mieści się teraz sztab sowiecki i legenda ojca "niepokonanego rycerza" - wała się w gruzy. Ojciec okazał się tylko mistrzem iluzji słownej. Prawda jest okrutna: był zaledwie pikolakiem i kelnerem w hotelu, wiedze o świecie czerpał z fantazji. A zamiast książek i dam - sowieccy oficerowie strzelają z naganów po wódce do kandelabrow i portretów hetmanów wielkich koronnych w apartamencie prezydenckim.

Fabula prosta, można rzec banalna, gdyby nie zamysł autora. Klęskę ponosi tradycja, mit, literatura - a powrót do rzeczywistości jest bolesny i okaleczający. Ostrzeżenie przed fikcją? I tak, i nie. Tak, jeśli fikcja zostaje użyta jako narcystyczny mechanizm

obronny, jako ucieczka od prawdy, moda zasłaniająca konsumpcyjny, bezduszny świat egoizmu, pychy i żądz. Ale i nie, bo bez bajek, legend i mitów - życie jest płaskie i puste jak roślinność "kopalnianego konia". Nowakowski ma także na myśli twórczość literacką, wszelką sztukę - uprawianie iluzji pomagającej zrozumieć innych ludzi. Ich odrębność i niepowtarzalność. Pozwalającej zrozumieć siebie samego w świecie pełnym sprzeczności, ambiwalencji, walki Arymana z Ormuzdem, dobra ze złem. To chwyt podobny do użytego przez Tolkiena w latach 30. ub. wieku, który pisząc opowieści o Władcy Pierścieni skrył Biblię i Nowy Testament w ateistycznym kostiumie magii i czarów. To przecież bajki dla dorosłych, a Tolkien był wierzącym katolikiem, który może wcześniej od innych odkrył u ludzi współczesnych tęsknotę za innym światem, naddanym i tajemniczym.

Schizofrenia PRL-u, pranie mózgów i "heglowskie ukąszenie" nie przyszły nagle - grunt pod zasiew cynizmu i nihilizmu był od dawna przygotowywany. Wojna i ponowna okupacja tylko użyźniły tę glebę. Pomieszenie pojęć, tak charakterystyczne dla obecnej epoki transformacji, degrengolada duchowa i utrata kompasu to zjawisko dotyczące nie tylko Polski i nie tylko Europy. Profesor Pimko Gombrowicza i profesor Werner Nowakowski wykluczają się i uzupełniają nawzajem. Obaj demaskują mity i złudzenia. Ale bez tego "kłamstwa" - a więc i tajemnicy - ludzie zamieniają się w stado wilków. Wilki, zdaniem naukowców, nie mają wyobraźni. Z wyobraźnią może żyje się trudniej. Niekiedy krócej. Niekiedy dłużej. Dzieci, którym nie opowiadano bajek w dzieciństwie - są inne. Jako dorośli mają kłopoty ze znalezieniem sensu życia. Łatwiej tracić wiarę, także w siebie samego. Może pisarz chciał tylko przypomnieć tę starą prawdę i jeszcze wyraźniej podkreślić jej aktualność w epilogu zatytułowanym *Tak się zaczynało?*

To, co pisze w nim Nowakowski o latach 40. i 50., swojej młodości i dojrzewaniu - znajduje rozwinięcie i uzupełnienie w *Moim słowniku PRL-u*. Być może przeciwnicy tej prozy będą próbować podkreślać przebrzmiałość

Słownika - już od dłuższego czasu na rynku księgarskim pojawiały się i pojawiają wydawnictwa o podobnym lub zbliżonym charakterze. Leksykony, słowniki (pisane przez historyków czy dziennikarzy), *Czarna księga komunizmu*, przewodniki po obozach i łagrach, a zupełnie ostatnio *Fotografie* Janusza Andermana, czyli PRL w obrazkach i dialogach. Będzie przypuszczalnie tych wydawnictw przybywać. Pojawiają się zapiski i pamiętniki, dzienniki i biografie, wywiady z twórcami aktywnymi w tamtej epoce. W wielu z nich humor, ironia i groteska są już nieodłącznym elementem wartości.



W *Słowniku* Marka Nowakowskiego mamy do czynienia z czymś, co można by nazwać logicznym odwróceniem proporcji: im bardziej archaiczny termin (bardziej zanurzony korzeniami w stalinizmie), tym bardziej komiczna lub ironiczna forma opisu. Wystarczy pierwszy przykład z książki: A - Agitatorzy ZMP (w którym autor był krótko nawet etatowym pracownikiem aparatu) to w ujęciu hasła organizacja pozwalająca inteligentnym uczniom, o zainteresowaniach np. humanistycznych, urwać się ze znienawidzonych lekcji fizyki i matematyki "na akcje". Nie ma ideologii - jest zwykłe cwaniactwo i zgrywa. Nie ma donosicielstwa i łamania kręgosłupów moralnych, nie ma napuszczania szczeniaków na profesorów uniwersyteckich, uczonych światowej sławy, co się nie tylko podobało aktywistom, ale impo-

nowało nawet - na zasadzie młodzieńczej przekory - gorliwym i zakamuflowanym katolikom (patrz *Dzienniki Andrzeja Kijowskiego*). Tu często rodziło się źródło "janczarskiego" systemu fascynacji i uzależnień psychicznych od systemu marksistowskiego: oto niepowtarzalna szansa gnębienia innych tylko z powodu atutu młodości, przeskoków nagle całej żmudnej drogi awansów i schodkowej kariery: czyż nie o tej pokusie najogólniej zdają się mówić tzw. pryszczaci?

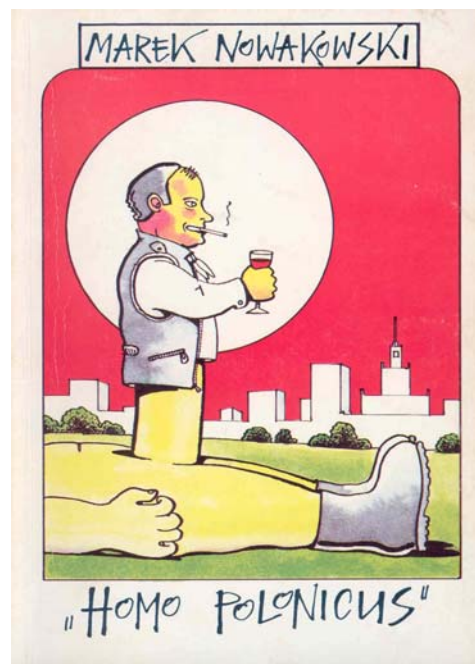
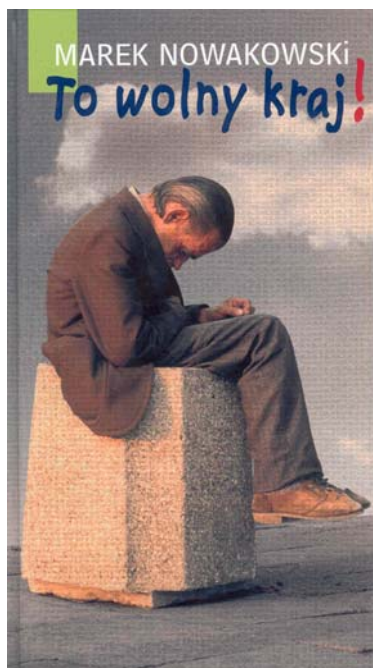
Młodzi gniewni lubią dziś zarzucać starszym pisarzom faryzejską moralność i minimalizowanie grozy tamtych czasów. Takie zarzuty padły swego czasu nawet pod adresem Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej. A sami przesuwali daty swoich debiutów poza magiczny rok 1989, żeby dodać sobie jeszcze więcej autorytetu. Szkoda miejsca na polemiki z ludźmi, którzy wyśmiewają Parnas, a potem szybko wdrapują się nań i bronią zdobyczy nie przebijając w środkach. Być może podobne głosy odezwą się także pod adresem autora *Mojego słownika PRL-u*, "który ich nie powali na kolana". Trzeba więc może przypomnieć, że Marek Nowakowski jest jednym z najlepszych mistrzów słowa potocznego i w prozie opowiadań czy powieści, od debiutu po najnowsze opowiadania słuch raczej go nie zawodzi. W *Słowniku* autor wybrał dość szczególną formę: jego narrator używa często w celach parodii języka oficjalnej, gazetowej propagandy, co sprawia wrażenie, jakby mówił z drugiej strony barykady. Jakby przemawiał w stylu tego aparatu: "Można śmiało powiedzieć: kursokonferencja była kuźnią kadr!". Nie ma powodów wierzyć, że było inaczej, gdyż Nowakowski opisuje wszystkie uroki takich imprez z rzetelnym znawstwem. Gdzie tu krytyka? Gdzie potępienie? Gdzie parodia? Czytelnik - zwłaszcza młodszy ma prawo powiedzieć - sam bym się załapał na takie balangi! Otóż to - cenzura była zła, ale kursokonferencje zastępowały dzisiejsze agencje towarzyskie i promocje z wyszynkiem. Było źle, paszportów nie dawali, ale na nudę narzekać w kraju nie można było (patrz hasło "Budka z piwem"). Ten, kto był po stronie "zwycięzców", zwykle nie mógł narzekać. Dla całej reszty były ochłapy, resztki z pańskiego stołu i trzeba się było nieźle nagimnastykować, żeby nie tracąc twarzy zgarnąć coś dla siebie.

Ludzie musieli udawać kogoś innego, zwodzić węszących w życiorysach personalnych i ich zleceńodawców z bezpieki, ukrywać prawdziwą przeszłość i chwalebne zasługi w czasie okupacji.

Język nowomowy można wykorzystać w celach parodii ale wymaga to niezwykłych zabiegów i szczególnej ostrożności. W każdym razie używania wielu i częstych nawiasów. Tych nawiasów nie brakuje w *Słowniku* i nie jest to jego jedyna zaleta. Powtórzmy - inni już to robili i na pewno nie zostali gorzej ocenieni. Dobór haseł (aktyw, aparat, awangarda, rozpracować, zabezpieczyć, front, wróg), gdzie w kilku powtarza się ten sam temat lub podobny zakres pojęciowy, mógłby być na pewno inny. Partyjna nowomowa nadawała słowom formę worków bez dna, które na każdym etapie "walki ideologicznej" (akurat tego hasła nie ma u Nowakowskiego) znaczyły co innego. Monotonia była okrutną bronią komunistów - wlewała w ludzkie umysły truciznę nieuchronności i niezmienności. I tę duszną atmosferę strachu, terroru, przymusu i beznadziei autor stara się - stosując czarny humor i ironię - odtworzyć.

Marek Nowakowski, *Empire, Twój Styl*, Warszawa 2001, s. 140
Marek Nowakowski, *Mój słownik PRL-u*, Alfa, Warszawa 2002, s. 171

Recenzja ukazała się na stronie:
<http://www.dziennik.com/pl/w/w/dziennik/kult/archiwum/07-12-02/pp-10-11-05.html>



Marek Nowakowski o Pałacu Kultury

Czy Pałac Kultury zasługuje, żeby nazywać go zabytkiem? On się nim już stał i jako taki powinien podlegać ochronie. Chociaż boleję bardzo nad miastem wyburzonym tylko po to, żeby ohydny budynek mógł stanąć w sercu miasta. Kiedyś chciałem go burzyć, ale już do niego przywykłem. Patrzę też bardziej praktycznie i zastanawiam się, ile by kosztowała jego rozbiórka, pewnie miliony. Zresztą Pałac w swojej ohydzie nie jest w stolicy taki samotny. Dzielnie statystują mu blokowiska z płyty sprzed kilkudziesięciu lat albo biurowiec Fostera na pl. Piłsudskiego. PKiN jest żywą pamiątką PRL i niech już tak zostanie.

http://www.sztuka-architektury.pl/index.php?ID_PAGE=2597

MAREK NOWAKOWSKI

ARCHEOLOGIA ŚMIERCI

Amnezja! Choroba naszego czasu. Ludzie idą w przyszłość jak ślepi bez lasek. Przeszłość niepotrzebnym balastem. Utrudnia ruchy, przeszkadza w działaniu. Nic nie wiedzą. Nic nie chcą wiedzieć. Zapomniana historia. Co było tu, co było tam? Gdzieś tam odkrywamy ułamki starych murów, przyklejone do powojennych budowli. Giną w ich cieniu. Przytłoczone ich masą. [...]

[...] Cała Koszykowa była jak wąwóz, prowadzący do jaskini zbójców. Ilu żołnierzy AK, WiN, NSZ osadzonych zostało w tych piwnicach? Ilu poszło na straconie? Ilu stąd rozpoczęło więzienną golgotę od Mokotowa do Wroniek, Rawicza, Sztumu... Ilu zmarło w tej drodze? Ilu spoczywa w bezimiennych mogiłach? Może przypadkiem w tej chwili buldożer, rozrywający grunt pod budowę nowego osiedla, odkrywa czaszkę z otworami po kulach z tyłu! Będą się zastanawiać nad koszmarnym znaleziskiem. Materiał na sensacyjną notkę do stołecznej gazety.

Stoimy przed obskurną, czynszową kamienicą na Pradze. Tu było NKWD. Później bezpieka. Niejeden zwyczajny dom tak zmieniał swoje przeznaczenie. Warszawa, po drugiej stronie Wisły, cała w gruzach. Na Pradze zatrzymywały się forpocztę komunistycznego ładu. Specjalne służby. Tak teraz mówi się w beznamytnym języku historyków. Łowcy niepokornych, nieprawomyślnych, podejrzanych.

Stary, kulawy człowiek pokazuje czarną dziurę piwnicznego okienka. Osiedził tam trzy miesiące, nim go spadzili na jedną z wysp Archipelagu Gułag na Syberii. Na Dzielnej - muzeum Pawiaka, więzienia, w którym osadzano żołnierzy Polski Podziemnej podczas okupacji niemieckiej. Stąd ich zabierano do katowni gestapo na Szucha. Rozstrzeliwano w ruinach pobliskiego getta. Pracownicy muzeum gromadzą dokumentację martyrologii. Jednak nie wiedzą, że już w PRL-u - na pobliskich obszarach wypalonego, zburzonego miasta - powstał kompleks więziennie-obożowy, zwany Gęsiówką. Największa frekwencja pobytowa do kilku tysięcy. Od kryminalnych do politycznych. Zajmowała Gęsiówka znaczną część dawnego getta na osi ulicy Gęsiej (dziś Mordechaja Anielewicza) - od Zamenhofa aż do cmentarza ży-

dowskiego na Okopowej. Cóż za drański pragmatyzm, wykorzystanie cmentarzystwa wymordowanych Żydów na nowe getto dla nieprawomyślnych obywateli PRL-u. Wielki łagier w mieście.

Istniał do 1958 roku. Mało kto o tym wie. Nie ma śladu rejestracji w dokumentach, fotografiach, kronice filmowej. Wymazane wszystko. A tutaj przecież pracownicy szła produkcja materiałów budowlanych, potrzebnych do odbudowy stolicy i płyty, które pokryły plac Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina - to dzieło więźniów Gęsiówki: rolników skazanych za zaleganie z obowiązkowymi dostawami zboża, żywca, posiadaczy obcych walut, słuchaczy wrażeń rozgłośni radiowych i ostatnich prywatnych kupców, właścicieli sklepików i warsztatów, skazywanych za paskarstwo. Też martyrologia, tylko na łagodniejszą skalę w porównaniu z izolatkami X Pawilonu na Mokotowie, kazamatami Wołowa, Jaworzna i Strzelec Polskich.

Właściwie cała rzekoma wolność osoby ludzkiej w PRL-u naznaczona była piętnem półwięziennym. W naszej wędrówce śladami niedawnej przeszłości odwiedzamy podwarszawskie Włochy, teraz dzielnicę Warszawy. Oto kamienica od strony parku; tutaj, zaraz po ucieczce Niemców, zatrzymała się jednostka NKWD do szczególnych poruczeń. Podjechały willisy, wyskoczyły bojce w szarych szynelach. Wykwaterowali dotychczasowych mieszkańców i natychmiast rozpoczęli "pracę". Wylapywali z okolicy akowców (listy mieli dokładne, z adresami), umieszczali schwytych w piwnicach (celami zostały komórki na węgiel, swoje zagraczone pomieszczenia) i potem szły za Ural pociągi towarowe z aresztantami. Wywożono ich na "białe niedźwiedzie", jak wówczas mówiono powszechnie. Tutaj przebywała także - przed przymusowym odlotem do Moskwy - zaproszona na rozmowy tragiczna "szesnastka": Pużak, Okulicki "Niedźwiadek", Jasiukowicz, Jankowski, Bień i inni. Dopiero niedawno doczekała się ta solidna, mieszczkańska kamienica tablicy, informującej o jej krótkim, choć dramatycznym przeznaczeniu.

W tychże samych Włochach inny, dwupiętrowy dom, najeżony antenami telewizyjnymi, trochę pod-

upadły, łuszczy się tynk. W piwnicznych komórkach lokatorzy składają opał, półki z rzędami słowników przetworów owocowych, dziecięcy rowerek, połamane krzesła, balia, wyżymaczka. Jak łatwo taki zwyczajny, swojski dom przemienić w areszt, więzienie, kaźnię, karcer... Tu od 1945 roku do 1956 funkcjonował powiatowy urząd bezpieczeństwa. Pikanterii dodaje fakt, że już rozgościła się bezpieka, a jeszcze pozostała tabliczka z nazwą ulicy imienia Józefa Piłsudskiego. Potem została ulicą Armii Czerwonej. Obecnie znów Piłsudskiego i młodzi lokatorzy nic nie wiedzą o historii swego domu. Coś tu było... Zastanawiają się i nie wiedzą, co to było.

[...] Zatarta topografia krwawych miejsc. Ostatni świadkowie z rezygnacją wznoszą ramionami. Przez tyle lat nieśli to ponure brzemię przez życie. Nie zwierzali się nikomu. A teraz? Nikt nie chce o tym słuchać. Ludzie co innego mają na głowie. Pograżeni w swoich sporach, grach, interesach. Czasu nie mają. Niby słuchają, a nie słuchają. Co dla nich znaczy przeszłość? Niepotrzebny balast. Miłego dnia życzyć! Mówi dawny kat do swojej ofiary. Lub ofiara do kata.

Choć zdarzają się jeszcze tacy, co kraczą uparcie. Czarne ptaszydła. Żądają rozrachunku z przeszłością. Szacunku dla ofiar. Uszanowania niezawinionej śmierci. Napiętnowania morderców. Ostrzegają, że nie rozliczone rachunki krzywd i zbrodni mogą zalegać pokoleniami w zbiorowej świadomości, żeby z nagłą wybuchnąć, ślepa, niszcząca erupcja. Wtedy sprawiedliwość zostaje zastąpiona przez zemstę i historia podaje wiele przykładów samosądu. Kto ich tam słucha. Po co to komu. Odchodzi ostatni uczestnicy tamtych wydarzeń. Zapada gęsta ciemność. Było, nie było...

**Rzeczpospolita, Plus Minus,
Warszawa,
19 czerwca 1999**



Opracowano
na podstawie:
<http://www.zwoje-scrolls.com/zwoje19/text12p.htm>

Proza Marka Nowakowskiego we fragmentach

[...] Benek Kwiciarz wzruszył ramionami. Nie lubił pić z krawcem. Rozejrzał się wokoło. Podwórce opustoszało. Splunął, czuł jeszcze ten trupi zapach po nieboszczyku. Cicho, wysoko unosząc nogi, zaszedł psa Dziadka od tyłu i przydepnął mu ogon. Kundel zaskowyczał i uciekł szorując bruchem ziemię.

- Złapał bieg – powiedział Kwiciarz i nie oglądając się wyszedł przed bramę.

[...] - Żydu! Żydu! – posłyszal wołanie zza szkoły. Obejrzał się. Olek Nawisłak, stryjeczny brat, zamachał ręką. Przywitali się. Nawisłak też był czarny, ale nie tak żydowaty jak Benek, może dlatego, że z mniejszym zarostem, a i golił się zawsze starannie. Zagadkowo skrzywił teraz twarz, badawczo spojrzął na Kwiciarza.

- Pusty jestem – mruknął Benek – Przed wypłatą ... ani feniga.

Benek Kwiciarz (1961) z tomu *Opowiadania wybrane* (Warszawa : Czytelnik, 1969). – S. 129-131

Wychowawca zamruczał gniewie, pochylony nad stołem. Dzieci przycichły. Ona podeszła do stołu. Zwrócił ku niej twarz, wstał.

Był wysoki, chudy, o okrągłej twarzy, włosy miał krótko ostrzyżone, gęste, koleczasto pokrywały głowę. Spojrzała na niego i zarumieniła się. Tak zagapiła się bez słowa. Uśmiechnął się łagodnie, ujmująco. Jeszcze bardziej speszona, jeszcze bardziej gorące policzki, podała mu dzienniczek. I znów patrzyła na niego z jakąś przemożną, nie wiedziała skąd się to bierze, zachłannością. Tak chłonęła jego twarz, śmiesznie pyzată, z zacięciem na brodzie po goleniu, i włosy jak u jeża sterczące, tak jak druty sztywne, pokrywające głowę koleczastą powłoką. Chęć w niej natarczywa przesunąć dłonią po tych włosach, zanurzyć w nich dłoni. Opuściła głowę, poprawiła pośpiesznie chustę, zsunęła z czoła mokre włosy, przygryzła mocno wargi, żeby nabrały świeżej, oszukańczej krwistości. Pomyślała ze smutkiem o swojej twarzy, wymiętej, zmarszczonej, siedziała wczoraj do późna przy maszynie, oczy zaczerwienione, wstrętnie króliczo zaczerwienione, i tak ubrana byle jak, nędznie, płaszcz,

w którym chodzi po węgiel do piwnicy, brudny, postrzępione rękawy, i te buty na korku, stare, niemodne, takie toporne buciory, odbierające smukłość jej nogom, myślała o tym wszystkim ze smutkiem mocnym, coraz bardziej dokuczliwym, odbierającym jej pewność i spokój. Zamrugwała trwożliwie powiekami, gdy Nauczyciel uniósł wzrok znad dzienniczka córki.

[...] Ona zdjęła mokra sukienkę. Nie krępowała się go wcale. Powiesiła na poręczu łóżka. Nauczyciel odwrócił wstydliwie głowę. Ruszył w stronę drzwi, ujął za klamkę.

- Dobranoc – powiedział – przyjdę jutro.

Roześmiała się radośnie. Ta jego prześmieszna wstydlliwość rozczuła ją bardziej. Podeszła do niego.

- Żadne dobranoc – szepnęła – będziemy razem. [...]

Pocałowała go. Wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego. Cofał się, coś mamrotał. Tak spojrzął przez chwilę na nią obnażoną, otaczającą ramionami jego szyję; zaraz jednak spróbował wysunąć się z jej uścisku, jak uczeń opuścił powieki. Przygarnęła go mocno.

[...] Tak zajęta swoimi sprawami, że nawet przez myśl jej nie przeszło skrzyknąć pijaństwa męża z jej nieobecnością.

[...] - Już tam nie pracuję – powiedział Nauczyciel.

Odprowadził ją pod dom, zatrzymał się i powiedział ochryple: - Powinniśmy przestać się spotykać, koniecznie, bo ... Nie dała mu dokończyć. - Musimy się spotykać – powiedziała z siłą.

Gonitwa (1967) z tomu *Rajski ptak i inne opowiadania* (Warszawa : Twój Styl, 2000). – S. 233-234, 257, 260-261.

Poprowadzili ją ostrożnie po schodach. Twarz miała blada i spoconą. Postękiwała. Stapała niepewnie, chybotałwie.

- Bolało? – zapytał Czarny.

Przytaknęła. Drzwi na parterze uchyliły się i wyjrzała stamtąd kobieta. Przyglądała się im z nieskrywaną ciekawością. Kazik pokazał jej język. Speszona zatrasnęła drzwi.

[...] Czarny ścielił tapczan. Ona siedziała na krześle. Wyglądała jak po-

psuty manekin. Pomogli jej zdjąć ubranie. Czarny sprawnie uwijał się koło spódniczki i pończoch.

[...] Położyli ją na tapczanie. Chwilę leżała z otwartymi oczyma. Wodziła za nimi tym cholernym psim wzrokiem. Kazik otworzył puszkę pomarańczowego soku. Postawił przy tapczanie. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Zgasił światło. Siedzieli w ciemności. Zaczął padać deszcz. Równe uderzenia kropel w szyby. A wkrótce jej równy, głęboki oddech. Usnęła.

- Przetrzyma wszystko – mruknął Kazik.

Pracuse z tomu *Gdzie jest droga na Walne?* (Warszawa : Państwowy Instytut Wydawniczy, 1974). – S. 93-94

- Do twojego brzegu to zawsze albo gównu albo wiecha przyplynie – powiedział sobie niezbyt głośno, ale wyraźnie, kiedy drugi sekretarz referował mu sprawę działalności propagandystów w terenie.

Powiedział i stropił się. Drugi sekretarz wytrzeszcza na niego gały. Drugi taki gładki, cwany, tylko szuka okazji, żeby mu nogę podstawić. Teraz przestał mówić i patrzy. Cholera wie. Słyszał, nie słyszał.

- Kierunek agitacji- znów referuje monotonna drugi, a czy ma nieprzeknione – siedł w aspekcie wyjaśniania ludziom sensu politycznego ostatnich wydarzeń.

Szedł w aspekcie – wrzasnął Pierwszy – Naucz się wreszcie mówić po ludzku.

Powiatowy sekretarz „Zapis”, styczeń 1977 nr 1 s. 119

Szef propagandy fabrycznego ZMS-u był skacowany. Pótleżąc na stylowej kanapie z wylazającym spod pluszu włosiem, która nie wiadomo czemu skąd znalazła się w tym pomieszczeniu, uspokajał panią z Miejskiej Biblioteki: - Nie denerwujcie się, towarzysko Halino, wszystko będzie grać, zna mnie pani przecież.

[...] - Zdrowie dam – zwrócił się do pani Haliny, bibliotekarki. Lekko skinął głową pisarzowi. Wypili.

[...] Popatrzył z dezaprobatą na ledwo

upitą zawartość kieliszka pani Haliny, bibliotekarki.

Co pani tak się pieści?

[...] Pani Halina poprawiła włosy i sięgnęła do torebki. Włosy miała puszyste, rudawe. Ładne. Z torebki wyjęła jakąś karteczkę. Przeczytała szepcąc. Powtórzyła jeszcze raz już nie patrząc w karteczkę i przymykając oczy.

Pisarz przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Powtarzam tytuły pańskich książek.

[...] Stary z rady zakładowej chyżo podskoczył do kąta i wyciągnął zza płótna następną flaszkę. Tym razem winiaku. Nalewał sam szef propagandy. Zmusił panią Halinę, bibliotekarkę do wypicia swojego kieliszka do dna. Stuknął się z nią szkłem.

Wieczór autorski III W: „Zapis”, kwiecień

Złe zdarte. Całe słowa, a nawet zdania pozostały czytelne. Musiał zeszkrobać. Miał taką szpachlę murarską w kieszeni. Szpachlą przeciągnął po murze. Zazgrzytało przeraźliwie. Kaprał przyglądał się jego robocie z bliska i z odalenia.

Przeciągnij pan jeszcze raz!

Był służbistą i kilka razy zmuszał cywila do poprawek.

[...] Ulicę zamykał gmach biblioteki. Masywna to budowla i małe okienka posepnie niby czyjeś złe oczy spoglądały na nich z góry. Niżej mur znaczył wielki napis: BABILON UPADA! Mur był piaskowego koloru, litery czarne. Ten BABILON mocno bił w oczy. Przystanęli.

- Babilon upada – przeczytał półgłosem kaprał. Twarz miał szeroką i malinowe rumieńce zdobiły mu policzki.

Dwaj jego podkomendni patrzyli w zupełnie inną stronę. Z pobliskiej kawiarni wybiegły rozchichotane dziewczyny.

- Babilon upada – powtórzył ze staranną dykcją ten w półkożuszk.

Kaprał zamyślił się. Znał już na pamięć te różne hasła, napisy i symbole. Takiego nie było na żadnym murze dotychczas.

- To analogia ze starożytnej historii – odezwał się ponownie ten w półkożuszk. Twarz miał poważną, myślące oczy. [...] Kaprał poruszył ociężałą ręką. - Nie podpada – zdecydował.

Babilon upada z tomu Raport o stanie wojennym (Białystok : Zakłady Wydawnicze Versus, 1990). – S. 28

Artyści nie mogą istnieć bez wielbiciel. Muzy są jak woda, powietrze. Dają natchnienie, sycać próżność, uskrzydlać nawet mierne płody ducha.

[...] W owych burdach doszukiwano się głębszych egzystencjalnych znaczeń. Artysta z okrutną dociekliwością sonduje zakamarki ludzkiej duszy. W tym celował Ireneusz Iredyński. Zdarzały się czary mary ekspresyjnych recytacji własnych wierszy; w tej umiejętności ważny był dźwięczny, bogaty w odcienie głos. Dziewczyny z uwielbieniem słuchały słów poety. Stainiasła Grochowiak stał się nie kwestionowanym mistrzem słowa mówionego. Niezapomnianą jego muzą była młodziutka, zgrabna jak wschodni posążek, opalona na czekoladowo dziewczyna. Pędziła nieraz Nowym Światem rozglądając się rozpaczliwie i wszystkich napotkanych po drodze znajomych zapytywała: „Nie widziałeś Grochowiaka?” Ogrom dramatyzmu w jej głosie, tęsknoty za zagubionym poetą!

[...] Janek Himlsbach urzędując w Harendzie, nie narzekał na brak troskliwej opieki ze strony zapatrzonych w niego i zasłuchanych studentek. Raczyl je swoimi opowieściami z Mińska Mazowieckiego i okolic, a one zajmowały się wymianą jego kieliszków z pustych na pełne.

[...] Ruda kaja, uroda i łodygowatość kształtów jak i Modiglianiego, odznaczała się szczególną niestałością uczuć. Zwodziła kilku artystów, zmieniając ich jak rękawiczki. Popadali w depresję, bili się między sobą jak jelenie na rykowisku, pragnąc zdobyć wyłączność w posiadaniu.

Muzy z tomu Powidoki 2 : wspomnij ten domek na Gęsiówce. Warszawa : Alfa, 1996). – S. 128-129

Widzisz, synku ... - szeptał ojciec, wzdychając rzewnie – byłem wtedy w pełni formy – efektowna pauza. – To są chwile przed tygrysim skokiem. Takimi skokami zdobywa się życie. Pragnę, żebyś o tym pamiętał. Twoim obowiązkiem będzie ponieść pałeczkę w sztafecie pokoleń.

Z trzaskiem zamknął drewniane okładki albumu, ozdobione szarotką, limba i górą z krzyżem na wierzchołku.

[...] - Mój ojciec nie mógł być pikolakiem! Oburzył się Hektor. – To jakieś nieporozumienie!

- Coś myślał! To długa droga – wyjaśniał cierpliwie stary pucybut. Nie od razu mogłeś zostać kelnerem. Trzeba było uczyć się zawodu. Tyle w nim finezji, tajemnic, trików. Obaj startowaliśmy od zera. Ale twojemu tatusiowi lepiej poszło. Prezencję miał lordowska i ruszał się z taką gracją. To przymioty wrodzone.

[...] - Ależ! – Hektor znów próbował przerwać. – Przecież mój ojciec był artystą, występował jako iluzjonista.

- Iluzjonista! – pucybut rozkaszał się od śmiechu, orkiestra w płucach, rząził i załzawiły mu się oczy. – Celnie powiedziane, chłopcze, bardzo celnie. Tak sam siebie lubił nazywać. Jam mówił, jestem mistrzem iluzji, osładzę wam gorzkie życie.

[...] Wrócił do domu późnym wieczorem. Drzwi otworzył ojciec.

- Gdzie się podziewałeś tak długo? – powiedział z wyrzutem – Bardzo się niepokoił, ja i mama.

[...] - Synku! – wołał za nim ojciec. Zatrzymał się. Jednak nie odpowiedział. Tylko zadrgała mu broda i łyzy zakręciły się w kącikach oczu.

[...] Zza drzwi dochodził ciężki, nierówny oddech ojca.

- Nie chcę cię widzieć! – szeptał Hektor. – Nie chcę! Nie chcę!

Empire (Warszawa : Twój Styl, 2001). – S. 13, 120-122, 129-130

Pepo zdążył już naciągnąć spodnie i kowbojski but na jedną nogę. Czarna ocknęła się z omdlenia. Palce jej prawej dłoni rozczapierzyły się jak szpony i powoli, centymetr po centymetrze zbliżały się do nożyc leżących obok niej na podłodze. Tym razem Pepo był szybszy i kopniakiem wymierzonym w pokrzywioną twarz Czarnej, uścił ją ponownie. Mała nie przestała pochlipywać, zeskokczyła z tapczanu i przywarła całym ciałem do Pepa.

- Ja też chcę z wami! – załkała, wtulając swoją trójkątną, lisią twarzyczkę pod jego brodę.

Czarna i Mała z tomu Opowiadania uliczne (Warszawa : Twój Styl Wydawnictwo Książkowe, 2002. – S. 36)

Cinkciarze

Wystawali pod Peweksami, komisami, hotelami i sklepami ze złotem i biżuterią. Osobnicy różnego wieku. Odporni na zmiany klimatyczne. Czy to skwar, ślota, czy mróz – zawsze byli. Przestępowali z nogi na nogę, spacerowali,

czytali gazety. Ale ich oczy czuwały nieustannie, wiedzieli do kogo podejść i zagadać. Proponowali zakup złota, dolarów i innej waluty zagranicznej.

[...] Cudzoziemców, którzy pojawiali się w Polsce coraz częściej, nagabywali rytualnym pytaniem: czencz manej?



Skupowali również bony dolarowe, które były przeznaczone tylko do użytku wewnętrznego w sklepach Peweksu.

[...] Dopiero wprowadzenie dolara do jawnego obrotu płatniczego położyło kres ich egzystencji. Wielu z nich zajęło się wtedy prowadzeniem kantorów wymiany walut.

[...] Pewien dżentelmen z cinkciarzkiej profesji został czcigodnym senatorem. Jego kolega z tej samej branży założył niezwykle popularną kasę oszczędności z wysokim procentowaniem wkładów.

Mój słownik PRL-u. Warszawa : Wydawnictwo Alfa, 2002. – S. 30-32

Tupnął jedną nogą. Zaraz drugą. Po chwili zaś jednym butem, to drugim, na przemian, zaczął rozchlapywać kałużę we wgłębieniu chodnika. Dzieło zanieczyszczenia nastąpiło szybko i jego eleganckie kamasze pokryły się warstwą szarej, błotnistej mazi.

- Pucuj! – wrzasnął, krzywiąc z nie-smakiem mięsistą twarz.

Właściciel pralni wyglądał na zdeorientowanego. Wytrzeszczył oczy w wysiłku zrozumienia.

- Co proszę! – wyszeptał.

- Pucuj! – zawarczał pan Tadeusz.

Wreszcie zrozumiał. Długa chwila bezradnej rozterki. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Przykucnął niezgrab-

nie i rękawem płaszcza zaczął wycierać but feudalą. Jeden. Drugi. Ponownie zaczęły nabierać połysku.

Pan Tadeusz z tomu *Opowiadania uliczne* (Warszawa : Twój Styl Wydawnictwo Książkowe, 2002. – S. 54)

Uśmiechnął się do nich przymilnie i cofnął dłoń, która chciał pogłaskać pieska.

Wtedy pierwszy błyskawicznym wykopem lewej nogi podbił pieska do góry. Piesek przerzucony został przez trawnik i opadł na asfalt po drugiej stronie. Padł na grzbiet. Piszczął jak dziecko i przebiegał łapkami.

- Kopa należy umieć wyprowadzić – powiedział pierwszy.

Piasek podniósł się i kołysał jak pijany zamroczony upadkiem.

- Tytus! – zawołał trzeci chłopak. – Tytus!

Piesek podkułił ogonek i skomląc pobiegł w przeciwną stronę.

Oda do młodości z tomu *Opowiadania uliczne* (Warszawa : Twój Styl Wydawnictwo Książkowe, 2002. – S. 192)

To osobliwy kolekcjoner. Pewnie posiada już kilka wypełnionych albumów; po powrocie z wyprawy wkłada w foliowe koszulki bileciki agencji towarzyskich. Ciekawe, jakie stosuje kryteria doboru, klasyfikację, układ. Czy zbiera po jednym egzemplarzu? Czy po kilka takich samych? Nieznane są pobudki, które nimi kierują. Wpatruje się w wyuzdane hurysy na ulotkach i budzą się w nim słodkie żądze, wprawia w obroty swą głodną wyobraźnię.

Kolekcjoner z tomu *To wolny kraj!* (Warszawa : Twój Styl Wydawnictwo Książkowe, 2004. – S. 34)

Po południu przystąpił do skomplikowanej czynności odwijania gazet i folii ze swoich stóp. Powoli usuwał warstwę za warstwą. Odsłoniły się spuchnięte czerwonosine stopy. Delikatnie przemywał je wodą i odrywał przyschnięte skrawki papieru. Wycierał do sucha szmatą. Z torby wciągał świeże gazety i nową folię. Na powrót owijać zaczął nimi stopy. Ogromniały w oczach, przypominając śnieżne rakiety wędrowców po bezdrożach podbiegunowej tundry.

Człowiek na podwórzu z tomu *To wolny kraj!* (Warszawa : Twój Styl Wydawnictwo Książkowe, 2004. – S. 68)

Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza, to prestiżowa polska nagroda literacka przyznawana od 2002. Została ufundowana w celu upamiętnienia postaci i dzieła jej patrona, pisarza i działacza politycznego Józefa Mackiewicza.

Fundatorami Nagrody są przedsiębiorcy Jan Michał Małek i Zbigniew Zarywski. Nagroda przyznawana jest corocznie, a ogłoszenie wyników i uroczystość wręczenia laurów odbywa się 11 listopada. Nagrodę przyznaje kapituła pod przewodnictwem Marka Nowakowskiego, w której skład wchodzi aktualnie (dane z jesieni 2006 r.): Tomasz Burek, Halina Mackiewicz (córka patrona Nagrody), Jan Michał Małek, Stanisław Michalkiewicz, Andrzej Nowak, Elżbieta Morawiec, Włodzimierz Odojewski, Jacek Trznadel, Maciej Urbanowski, Zbigniew Zarywski i Rafał Ziemkiewicz.

Kapituła rozpatruje każdorazowo, jako kandydatury Nagrody, utwory literackie (powieści, eseje, poezję) i publicystyczne (w tym polityczne) oraz naukowe rozprawy historyczne i krytycznoliterackie, napisane w języku polskim przez autorów żyjących, wydane w formie książkowej w poprzednim roku i zgłoszone przez wydawców do konkursu.

Latem ogłaszane są nominacje do Nagrody, zwykle obejmujące ok. 10 książek. Spośród ich autorów wyłaniany jest następnie laureat Nagrody, który otrzymuje 8 tys. dolarów i złoty medal z portretem patrona Nagrody oraz jego literackim credo: "Jedynie prawda jest ciekawa", oraz dwóch wyróżnionych, którym Kapituła przyznaje po 1 tys. dolarów. Ponadto zarówno laureat, jak i wyróżnieni otrzymują statuetki z brązu z popiersiem patrona Nagrody (dane z 2005 r.).

Laureaci Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza

2002- *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945* Ewy i Władysława Siemiaszków

2003 - *Ejszyszki. Kulisy zajęć w Ejszyskach, epilog stosunków polsko-żydowskich na Kresach, 1944-45*, opracował i wstępem poprzedził Marek Jan Chodakiewicz

2004 - *Kalahari* Wojciecha Albińskiego

2005 - *Człowiek w cieniu* Eustachego Ryłskiego

2006 - *Przed Agonią* Janusza Krasińskiego

Wywiady Marka Nowakowskiego

-Właściwie nie wiadomo, dlaczego zacząłem pisać. Ślepy los, przypadek, jakiś prywatny powód, na przykład człowiek źle się czuje, źle żyje i chce na papierze jakoś inaczej się porozliczać, inaczej porozkładać karty, które w życiu są takie, a nie inne, w pisaniu zaś można je ułożyć według swojej woli. Może to jest zabawa rekompensacyjna w stosunku do życia? A może – zabawa projekcyjna, żeby pozbyć się obsesji, przeszkadzających w projekcji życia, żeby ono było świetne, żeby odetchnąć z ulgą, znaleźć się w dobrym miejscu, odprężyć, cieszyć. Pisanie jest szukaniem projekcji zapewne nieistniejącej.

[...]

W moje pisanie został wmontowany kod: nasze życie jest okropne. Jeśli spojrzeć na nie z okrucieństwem skoncentrowanym, to ono jest bez sensu, robaczywe, brudne i należy tylko w sposób heroiczny tak plan życia układać, żeby się tym nie zdławić.

[...] Życie jest żywiołem, który nie da się uporządkować, ujaśnić, uszlachetnić. Są to próby daremne, ale niektórym ludziom zajmują czas i pozwalają wierzyć, że to jest sposób na życie.

[...]

Helena Zaworska: Już nieraz zastanawiałam się, jak pan to robi, że z jednej strony pokazuje pan wszystko tak, że tylko pistolet przyłożyć do skroni lub przygotować sznur, a z drugiej – nie przestaje pan uczestniczyć w życiu, nawet delektować się nim. To ohyda i groza, a tu ...

Marek Nowakowski: ... a ja zrazy po nelsonsku i barszczyk z uszkami! A jeszcze mam wymagania co do uszek: mają być takie jak kołduny, które przyciśnięte językiem na podniebieniu muszą pstryknąć wspianiałym smakiem.

[...]

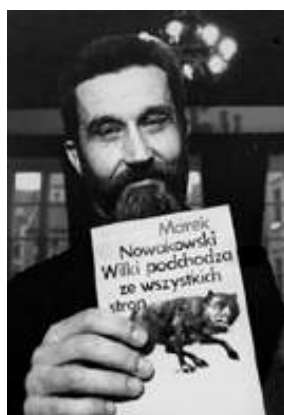
Literackie kronikarstwo jest dla mnie bardzo cenne, jest doskonała szkoła rejestracji świata, w którym żyję. Mam taką metodę płodozmianu: kornika, a potem próbuję sięgać do siebie i w formule bardziej psychologicznej opisywać siebie w tym wszystkim. Na

przykład *Zapis i Robaki*. Robiłem *Raport o stanie wojennym*, chodziłem po mieście wśród tych czołgów, patroli, ubeków, obwieszczeń, aresztowań i zapisywałem. Nie dlatego, że spełniam jakąś misję, podnoszę ducha narodu walczącego z komunizmem, zagrzewam do czynu, jestem apologetą „Solidarności” – to wszystko bzdura. Niektórzy tak to odebrali, a ja pisałem, bo chciałem ten czas utrwalić – dla siebie.

[...]

Pisanie to przede wszystkim moja sprawa, dzięki temu istnieję, egzystuję. Jest to zabawa, komedia, tragedia, parodia, groteska, realizm, surrealizm, konkret, absurd, abstrakcja, rzeczowość, pragmatyzm. Może wracamy znów do tego, że nie nadawałem się do czynnego życia, chociaż wiele takich prób podejmowałem, miałem nawet różne sukcesy, ale po pewnym czasie przestawało mnie bawić, traciłem do tego serce, ducha czy iskrę Bożą i zostawałem na lodzie, goły, pusty. I może dlatego zostałem pisarzem. Może to jest terapia.

Z wywiadu z Heleną Zaworską w lutym 1991 r. pt. *Czarna dziura* opublikowanym w tomie *Dobrze, że żyłem : rozmowy z pisarzami* (Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., 2002), s. 96-97, 100-105.



Mnie nie chodzi o to, że ohyda istnieje wokół nas, że jest czymś zewnętrznym; ona jest wewnątrz człowieka. Przecież świat jest złożony z ludzi, więc w nich tkwi „ohydnosc”. Nieraz jakaś piękna ohyda!

Helena Zaworska: Dla kogo pisałeś swoje pierwsze książki? Przecież ich bohaterowie nie interesowali się czytaniem literatury.

Marek Nowakowski: Myślę, że był to przede wszystkim dialog z samym sobą, który pomagał mi żyć. Nie myślałem o czytelnikach, że zrozumieją, zachwycą się, pokochają. Nie. Ten dialog z samym sobą był spowodowany straszną niewygodą życia, bo niby ono takie barwne, przygodowe, a przecież w istocie spycha w dół, depcze, niszczy.

[...]

Nie oceniałem nikogo jednoznacznie, natychmiast, natomiast pewne zasady zawsze istniały w kontaktach z ludźmi, ponieważ parszywiec czy zwykła świnka albo, co najgorsze, donosiciel – to nie są partnerzy. Nie są nawet partnerami pisarskimi, bo stają się samym wstrętem. Na swojej drodze poznałem takich i eliminowałem ich jako osoby nie mojego teatru, nie mojej sztuki.

[...]

Tak się to wszystko niby dobrze skończyło, nie jesteśmy pod kluczem jakieś totalitarnej władzy, tylko sami sobie los gotujemy, czyli jest najlepiej, jak może być na tym padole.

A okazało się, że tu znów jakaś parszywość nas zalewa, że pojawia się nam oto sparszywiła polska gęba. Nowe jej wcielenia, inne od tamtych peerelowskich. Powstaje gęba biznesmena, gęba menedżera, gęba dealera, gęba posła, gęba działacza, dygnitarza – znów te gęby łączą się z różnymi zajęciami, które powinny być teraz pozytywne. One bywają znów ohyda podszyte. [...] Tymczasem te gęby pachną zgniłym czasem Gierka, tylko innego typu.

[...]

Na razie próbuję być dalej zbieraczem faktów, cech ludzkich, które wylazły teraz, w stanie wolności. Interesuje mnie teraz negatywna strona człowieka w stanie rzekomej wolności.

Z wywiadu z Heleną Zaworską w kwietniu 1999 r. pt. *Jaka piękna ohyda* opublikowanym w tomie *Dobrze, że żyłem : rozmowy z pisarzami* (Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., 2002), s. 114-115, 138, 156-157, 166.

Robert Ostaszewski: Ustawiając się z boku ryzykuje Pan jedna, że Pana głos stanie się właśnie głuchy, że będzie słabo słyszalny, dotrze do niewielu?

Marek Nowakowski: [...] Nigdy nie łudziłem się, że literatura taka, jaką uprawiam ja czy inni, może być masowa. Ale wierzę, że są gdzieś czytający, do których warto docierać, których moja literatura może ożywić. Oczywiście teraz są dość ciężkie czasy dla literatury. Mamy ogromne naciski reklamy i rozmaitych sił medialnych na łeb człowieka; mogą one zrobić z główna zjawisko, z główna wartość. Sam wolę nie brać udziału w tym całym medialnym cyrku. Chce jedynie na boku robić swoje.

W rozmowie z Robertem Ostaszewskim pt. *Pieszczochy losu i solista* (Dekada Literacka 2000 nr 6/8 s. 3.

Niegdyś polowałem na słowa – błyszczące kamyki na szarym piachu, osobliwe, dosadne i zwariowane. Stop barwnych powiedzonek ludu [...] w symbiozie z wynaturzoną nowomową gazet i przemówień działaczy partyjnych, żargonami technokratów, kryminalistów itp. Ten zabieg językotwórczy zastosowany dla opisu zdewiowanej rzeczywistości, pełnej pustych pojęć, zdławionej w gorsecie propagandowego fałszu, wydawał mi się idealną formułą moich usiłowań pisarskich.

Dziś myślę inaczej. Suchy, wypreparowany styl, pozbawiony ozdób i barwy, przypominający naukowe, specjalistyczne rozprawy czy raporty, nie pozbawiony jednak humoru i ironii, inkrustowany z rzadka jakimś słowem jak rodzynkiem – oto forma, która pociąga mnie coraz bardziej.

Karnawał i post z tomu *Karnawał i post* (Warszawa : Iskry, 1990). - S. 7



Marek Nowakowski dla DZIENNIKA

Prawda o smętnych kapusiach

Dlaczego pisarz Marek Nowakowski przeczytał swoją teczkę

"Czytam w IPN moje teczki. Jest ich około dwudziestu. Dorywczemu nadzorowi bezpieczeństwa podlegałem od początku lat 60. Natomiast permanentnej pieczy zwanej działaniem operacyjnym dotyczącym figuranta „Nowego” - od roku 1975 do 1989. Wtedy nastąpiło oficjalne zamknięcie sprawy potwierdzone odpowiednim dokumentem" - pisze w DZIENNIKU Marek Nowakowski.

Najbardziej wciąga w lekturze wątek tajnych współpracowników służb bezpieczeństwa. Zawiera ich relacje z figurantem i mocodawcami. W notatkach służbowych, planach działania i pomysłach operacyjnych funkcjonariuszy MSW: porucznika Jurewicza, kapitana Majchrowskiego i innych oficerów III Departamentu MSW, znalazłem polecenia reaktywacji takich TW, którzy w dawniejszych latach przyjaźnili się z figurantem o pseudonimie Nowy. Ci moi serdeczni koledzy z czasów studiów na UW w latach 1954-1958 i mych literackich początków w latach 1957-1960 ochoczo odzywają się z daleka i następuje renesans młodzieńczej przyjaźni. Telefonują, umawiają się, przyjeżdżają. Serdecznościom i wspominkom nie ma końca. Jeden to dziennikarz i krytyk literacki po latach wędrowania osiadł na zachodnich rubieżach Polski. Drugi - prawnik, życzliwy mentor z pierwszego roku studiów - nieraz po przyjacielsku ostrzegał wtedy, żebym trzymał język za zębami i uważał na konfidentów. Trzeci - poeta, malarz, niepokojny duch - poszukiwał spełnienia... i znalazł je w SB.

Z SB na dobre i na złe

To byli sprawdzeni współpracownicy bezpieczeństwa. Jak wynikało bowiem z wymiany korespondencji między inspektorem a porucznikiem prowadzącym

rozpracowanie figuranta "Nowego", naczelnikami wydziałów i dyrektorem Departamentu III MSW byli od lat zarejestrowani w gestii ministerstwa. Mocodawcy, którym podlegali, byli także chlebobawcami. Na przykład TW Samanta z Łomży (czytając, myślałem, że to kobieta, potem przyszło olśnienie - toż to Zbyszek!) otrzymuje od swego oficera prowadzącego, ppłk. Wiluka, wynagrodzenie za pracę nad moją osobą w wysokości 3 tys. zł, z zanotowaną oceną, że zadanie wypełnił sumiennie, wykazując się zasługującą na pochwałę inwencją. TW Marian (Zielona Góra) otrzymał honorarium w wysokości 3 tys. zł. Był dobrym, oddanym (autentycznie) kompanem z burzliwej, wolnej młodości. Raporty wymienionych TW cechuje drobiazgową dociekliwość, posuwają się nawet do takich szczegółów: "Marek opuścił na chwilę kawiarnię i poszedł do budki telefonicznej. Nie dowiedziałem się jednak, do kogo dzwonił". Chętnie zapraszali na wódkę. Zwierzali się ze swoich osobistych spraw. Czekali na moje wyznania. W charakterystyce swoich cech osobowych znalazłem w aktach następującą wzmiankę: "Ma skłonności do alkoholu, po wypiciu często staje się agresywny". He, he, he! "Samanta" skrupulatnie wywiązał się ze sporządzenia planu mojego mieszkania na Długiej. Kartka poślizniętego papieru i kolorami naszkicowany rysunek: dwa pokoiki, ślepa kuchnia. Oprócz trzech rozpoznanych konfidentów na liście występują: "Aleksander" - okresowo, "Albin" - nie podano, czy okresowo, czy na stałe, "Maćkowski" - podlega KW MO w Opolu, przystępuje do akcji na polecenie kapitana Mikołajewskiego, odnawia znajomość z figurantem (kiedyś była dość bliska), prowadzi placówkę kulturalną w Opolu, organizuje mi spotkania autorskie. Zbliżam się do odkrycia, kim był "Maćkowski". Jeszcze nie mam pewności. Następnie pojawia się "Stern", KW MO Rzeszów - doraźnie, "Tolek" - stale, "Góra" - nie wiadomo skąd, okresowo, "Jan Cis" - doraźnie.

Krytycy z komendy

Siatkę konfidentów dopełniają inne źródła osobowe: "Stanisław" i "Matrat". To analitycy, profesjonalści od literatury. Recenzują teksty czytane na spotkaniach autorskich. "Matrat" odznacza się błyskotliwym

stylem, pochwała walory formalne, kunszt narracji, dialog, ale nie zapomina o wymowie i pisze tak: "Pełna negacja PRL-u. Opowiadanie jest paskudne i wredne". Najbardziej mnie zaintrygowało pojawienie się pod koniec lat 70. TW o pseudonimie Nowy II. Był starannie zakamuflowany, zwierzchnicy zwracają mu uwagę na czujność w obawie przed dekonspiracją. Musiał być dla nich cenny. Zastanawiałem się nieraz w trakcie wielogodzinnych lektur w czytelni IPN, co skłaniało tych licznych TW do współpracy. Ujawnieni konfidenci często minimalizują swą rolę, ot - paplali nieszkodliwe. Kłamia! Na pewno dzięki nim życie miałem utrudnione; choćby odmowy wydania paszportu, kłopoty wydawnicze itd. Ci, których rozpoznałem - "Samanta", "Marian" - pracowali, mieli niezłe posady. Pragnęli mieć lepsze. Może cisnęli ich jakimś szantażem z powodów osobistych. "Samanta" na pewno gustował w wygodnym, dostatnim życiu. Po studiach pracując w administracji państwowej, był podejrzany o łapówkarstwo. Wywinał się jakoś. Zapewne wtedy nawiązał romans z bezpieką. Wyjeżdżał kilka razy do Stanów na saksy (mógł penetrować środowisko emigrantów), przywoził dolary, które czyniły go krezusem. "Marian" - prowincjonalny dziennikarz zatrudniony na ryczałcie, pragnął uzyskać etat. Obiecali i poszło! Dostawali za donosy drugie, tajne wynagrodzenie. Niskimi pobudkami kierowali się moi dawni koledzy. Poprawa bytu, szansa na wyjazd za granicę. To przecież nie był czas fizycznych tortur w kazamatach ubeckich, wybór życia lub śmierci, który przeżywali ludzie zmuszani do denuncjacji, fałszywych oskarżeń, donosów w latach powojennych, stalinizmu. A ci krytycy literaccy pisujący dla potrzeb MSW, koledzy ze Związku Pisarzy? Otrzymywali wyższe honoraria niż w czasopiśmie i wydawnictwach.

Tani Dostojewski

Nędza tych motywów. Jeden z donoszących na mnie tajnych współpracowników po przełomie 1990 roku opublikował książeczkę swoich wspomnień, portretów bliskich mu pisarzy. Znalazłem się w niej. Czule o mnie napisał. O więzi duchowej, trwałości i przyjaźni. To już istny kicz psychologiczny według Dostojewskiego! Tak samo wytrawny TW Samanta z Łom-

ży, kiedy wylądowałem w więzieniu za "Raport o stanie wojennym", dopytywał się o mnie z troską, chciał przekazać jakieś pieniądze. Według procedury, zwrócić się w odpowiednim trybie do IPN o odtajnienie nazwisk pozostałych TW. Jednak publicznego użytku z tego nie zrobię. Tylko niech wiedzą, że ja wiem. Dostyc o kapusiach! Teraz o ich mocodawcach, pracodawcach. O tych wszystkich porucznikach, kapitanach, majorach z MSW - Jurewiczach, Mikołajewskich, Zalewskich, Wilukach. O generałach, szefach i wiceszefach departamentów - Sarewiczu, Dankowskim, Krzyżtoporskim, Majchrowskim. Oni byli reżyserami gry. Oni tych żalosnych TW wprawiali w ruch. Szantażowali, werbowali, gnoili - zmieniając w szmaty, w zredukowanych podludzi. Bardzo byli aktywni. Porucznik Jurewicz, bezpośrednio prowadzący rozpoznanie operacyjne "Nowego", zwrócił się w



roku 1976 do naczelnika wydziału z wnioskiem o zainstalowanie podsłuchu w moim mieszkaniu. Propozycję zaakceptował dyrektor Departamentu III - gen. bryg. mgr inż. Krzyżtoporski. Wkrótce kipiący od pomysłów Jurewicz zaproponował dostanie się do mieszkania na Długiej podczas mojej nieobecności. Opracował szczegółowy plan akcji. W tym miejscu muszę wspomnieć o gospodarzu naszej kolonii Eugeniuszu Rembeckim, który nie przestraszył się ubeckiego szantażu i chrząkając, z zakłopotaniem powiadomił mnie o dziwnych manipulacjach na IV piętrze domu na Długiej. To oni, panowie z bezpieki, produkowali rozmaite fałszywki, jak choćby spreparowany list w aktach sprawy, rzekomo napisany do bezpieki przez bliskiego mi człowieka. Nie uwierzyłem. Jednak cień jakiś padł na naszą zażyłość. Brudna plama pozostała. Czym się ci niżsi i wyżsi funkcjonariusze zajmo-

wali? Pajęczym opłataniem ofiar, łamaniem charakterów, deprawacją. Za takie zasługi wspinali się po drabinie awansów. Towarzyszący mi nieustannie w teczkach kapitan Majchrowski w stanie wojennym doszedł do rangi generała brygady i zaczął parać się eszystyką na łamach "Życia Literackiego", odpowiednio słusznie kwalifikując i odsadzając od czci i wiary takich jak ja pisarzy. Ci panowie żyją sobie teraz spokojnie i godnie. Bez żadnych wyrzutów sumienia, niepokoju, kaca moralnego czy czegoś podobnego. Nikt im niczego nie zakłóca. Idylla. Teczki to cuchnąca lektura. Czytam dalej.

Marek Nowakowski

Na podstawie *Dziennika* z dnia
29 stycznia 2007 r.

<http://www.dziennik.pl/Default.aspx?TabId=14&ShowArticleId=29741>

Podróż przez historię Polski

Z moich opowiadań wybieraliśmy fragmenty, które adaptowaliśmy do celów scenicznych. W ten sposób powstała opowieść o podróży pociągiem od końca wojny do współczesności - mówi prozaik MAREK NOWAKOWSKI, przed premierą "Wagonu" w Teatrze Współczesnym w Warszawie.

Julia Rzemek: Jutro na Scenie w Baraku w Teatrze Współczesnym odbędzie się premiera "Wagonu" w reżyserii Krzysztofa Zaleskiego. Rzeczą składa się z fragmentów pana prozy. Jak doszło do powstania sztuki?

MAREK NOWAKOWSKI: Okoliczności są bardzo zabawne. Parę miesięcy temu burmistrz dzielnicy Praga-Południe pan Mateusz Mroz zaproponował mi zwiedzenie wagonowni Szczęśliwice i obejrzenie słynnych salonek - wagonów sypialnych niezwykle modnych w czasach PRL, a dziś wynajmowanych na specjalne życzenie biznesmenom. Siedzieliśmy w takiej salonce, był dość mroźny wieczór, piliśmy herbatę i wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pomysł na tę sztukę. Pochodzę z podwarszawskich Włoch - wielu mężczyzn, ojców moich kolegów, pracowało na kolei. Pamiętam, jak wracali do domów ze starą kolejową lampą oświetlającą drogę. Pomyślałem, że cała Polska jest w jakiś sposób związana z pociągami. Od wojny zajmowały one niezwykle istotne

miejsce w historii naszego kraju. Wagoni więźniów zmierzały do Oświęcimia, Treblinki, Bełżca, pociągi z niemieckimi żołnierzami jechały na front, transporty zesłańców trafiały na Sybir do łagrów. Potem do kraju przybywali repatrianci z wschodnich ziem dawnej Polski, wysiedleni przez Sowieców. Były podróże na Zachód i ziemie odzyskane. Motyw pociągu także wielokrotnie pojawiał się w moim piśmiectwie.

Scenariusz teatralnego widowiska stworzył pan wspólnie z Krzysztofem Zaleskim.

Julia Rzemek: Jak wyglądała współpraca?

MAREK NOWAKOWSKI: Z moich opowiadań wybieraliśmy fragmenty, które adaptowaliśmy do celów scenicznych. W ten sposób powstała opowieść o podróży pociągiem od końca wojny do współczesności. Zmieniają się bohaterowie oraz czasy, w których żyją. W sztuce znalazły się wątki z tomu opowiadań "Zapis", przedstawiającego Polskę ery Gomułki skutą lodem podczas zimy stulecia. Za inspirację posłużyły nam: "Gdzie jest droga na Walne?", "Mizerykordia". Ze zbiorów późniejszych sięgnęliśmy po wydawane w Instytucie Literackim: "Grisza, ja ciebie skażu" i "Dwa dni z Aniołem". Wykorzystaliśmy też fragmenty "Strzałów w motelu George" i "Homo Polonicusa", które ukazały się już w III RP.

Julia Rzemek: Praca nad sztuką była więc dla pana także okazją do przywrócenia się własnej twórczości.

MAREK NOWAKOWSKI: Rzeczywiście, spojrzałem na moje pisanie od początku. Ale była to przede wszystkim dobra zabawa.

Julia Rzemek: Jak prozę przekłada się na język teatru?

MAREK NOWAKOWSKI: W moich opowiadaniach jest wiele dialogów, dramatycznych historii, które można w naturalny sposób przenieść na scenę. Poza tym pracowałem z Krzysztofem Zaleskim, a on jest wytrawnym człowiekiem teatru. Sam nigdy się tym wcześniej zajmowałem. Przed laty moje "Wesele raz jeszcze" grane było m.in. w warszawskich Rozmaitościach, ale adaptacji dokonał mój kolega Janusz Krasiński.

Julia Rzemek: Krzysztof Zaleski w 2004 r. wystawił w Teatrze Telewizji pańską powieść "Księżę Nocy".

MAREK NOWAKOWSKI: Od tego czasu mam do niego wielkie zaufanie. Wiem, że nada moim opowiadaniom

sceniczną formułę i dramatyzm. Wierzę, że nie będzie to martwa adaptacja prozy.

Julia Rzemek: Czy poza napisaniem tekstu wspólnie z Krzysztofem Zaleskim pomagał mu pan w realizacji tego spektaklu?

MAREK NOWAKOWSKI: Dużo rozmawialiśmy, wymienialiśmy się uwagami. Mówiłem mu o dawnej atmosferze, bo zależało mi na uniknięciu błędów i pokazaniu prawdy czasu, realizmu szczegółu. Ale w żaden sposób nie ingerowałem w jego pracę, nie chodziłem na próby.

Julia Rzemek: Czego oczekuje pan po jutrzejszej premierze?

MAREK NOWAKOWSKI: To będzie przygoda zobaczyć tę sztukę na scenie.

*Rzeczpospolita nr 9
11-01-2007*

MAREK NOWAKOWSKI O JULIANIE STRYJKOWSKIM

Był człowiekiem wielkich namiętności, co jest niewątpliwie potrzebne, żeby pisać takie dzieła - trzeba mieć energię, siłę. Ta namiętność w jego ciele była widoczna - w reakcjach, zachowaniach. Także namiętność w stosunku do świata politycznego - była szalenie interesująca, mimo, że nie odbijała się bezpośrednio w twórczości. Strykowski był „zwierzęciem politycznym” - żył tym, analizował i - jeśli mówimy jeszcze o sferze politycznej - dokuczał mu garb komunizmu, jego własna przeszłość komunistyczna. Mówił o niej z oporami, a gdy próbował o tym pisać, powieść w efekcie wychodziła zakalcem. Mówię o „Wielkim strachu”. Nie mógł tej tamy, jaką zbudował w jego życiu komunizm uwidocznić, ona ciągle go dławiała. Jako pisarz miał bezbłędne ucho (ważne jest ucho pisarza na swój tekst), widział, co jest dobre, oczywiście zawsze chciał, żeby go chwalić. Ale jak się nie pochwaliło, natychmiast się skupiał i aparat jego odbioru reagował właściwie, wiedział, gdzie są słabe momenty. Na temat „Wielkiego strachu” dużo dyskutowaliśmy u mnie w domu - książka nam nie dawała satysfakcji. Gdzieś była jakaś blokada u pisarza, to czuje się na stronach, które w wy-

niku tej blokady powstają. W czasie dyskusji unosił się, gniewał, ale w efekcie przyznawał rację.

Strykowski - człowiek potrzebował w swej namiętności ideału, wzorca. Pamiętam jego zmagania dotyczące jego powrotu do źródeł: judaizmu, kiedy toczył wielogodzinne rozmowy z dominikaninem, o. Jackiem Salijem. Interesowała go też wiara chrześcijańska w rzymskim wydaniu. Potem zbliżał się do swych starych korzeni. Ale tu nie śmiem mówić, jaki był jego stosunek do Boga. To raczej przemyślenia o szukaniu oświeleń w życiu.

Jedynym zgrzytem w naszej znajomości była właśnie namiętność i potrzeba idola. Jak wielu w tamtych latach, ceniliśmy Adama Michnika. Julek może bardziej namiętnie niż ja. I był taki okres w nowszych czasach, że było z tym gorzej - Michnik też człowiek, robił, moim zdaniem błędy. A Julian uważał, że Michnik nie jest człowiekiem, tylko nad-człowiekiem. Dałem wyraz niechęci wobec pewnych poglądów Michnika na temat pisarza, którego wysoko cenię - Józefa Mackiewicza. Michnik wyraził się o nim źle - z takim płaskim, nawet prostackim stosunkiem do tego bardzo skomplikowanego twórcy. Dałem temu wyraz na piśmie. Już Julian Strykowski na mnie spojrzał wrogo. Mówię wciąż o epizodach, po to, by zakończyć czymś ludzkim i zwyczajnym: konfliktem między dwojgiem ludzi, a nie idyllą, która trwała przez cały czas. Później nie podobał mi się kontredans Michnika z generałem Jaruzelskim. Dałem temu wyraz. Julian spojrzał na mnie bardzo ponuro, stosunki były chłodne, przez jakiś czas nawet zerwane. Patrzył na mnie bokiem, ja też i tak się jakoś mijaliśmy. Dopiero w ostatnich dwóch latach życia nastąpiło pogodzenie. I wkrótce potem Julian umarł.

Wystąpienie spisane z taśmy przez Mariusza Kubikę, podczas wieczoru pamięci Juliana Strykowskiego, w Polskim PEN-Clubie, w Warszawie, 23 kwietnia 2001 roku.

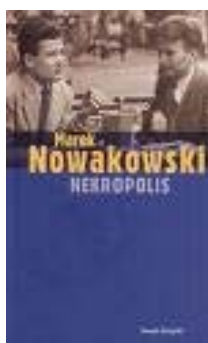
Gazeta Uniwersytecka UŚ Katowice czerwiec 2001 r.
<http://gu.us.edu.pl/>

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Łodzi

ul. Gdańska 100/102
90-508 Łódź
Tel.: 0-42 636-68-35 (sekretariat)
Tel.: 0-42 637-30-90 (centrala)

www.wimbp.lodz.pl

Nakład: 100 egz.
Redakcja i skład komputerowy
Małgorzata Cegiełko
Wybór materiałów i fragmentów utworów
Piotr Bierczyński



Od Literatów szło się zazwyczaj do Poziomki na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej. Poziomka przechowała się w niezmiennym charakterze. Mroczne wnętrza. Nawet w najbardziej jasny, słoneczny dzień panuje tu półmrok. Nieruchome sylwetki majaczą zza okna. Połyskuje kontuar wysokiego baru. Nikłe refleksy światła odbijają się w szkle na półkach. Widok taki sam jak przed kilkudziesięciu laty.

W Poziomce bywałam po wieczorach autorskich w Domu Literatury. Podnieceni własnymi sukcesami lub sukcesami kolegów. Po prostu szliśmy i po drodze była Poziomka. Tutaj Irek Iredyński znokautował nas wiadomością, że tłumaczy go na afrykanerski.

[...] Do Poziomki zachodziłem najdawniej. Jeszcze z Andrzejem Brychtem. Pamiętam doskonale jedno spotkanie. Rozłożył płachty „Współczesności”. Było tam jego opowiadanie *Balbina*. Andrzej, wysoki, tegi, o brązowych oczach setera z okularami, przyjeżdżał z Łodzi. Pisał ostre, drapieżne opowiadania o chłopakach z Bałut, o ich żarłocznej tęsknocie za większym szmałem, za lepszymi dziewczynami. Sam też marzył o luksusach. Zatrzymaliśmy się kiedyś przed komisem. Komis to był wtedy raj. Andrzej wskazał złotą papierośnicę, skórzaną kurtkę, buty w stylu angielskim, jeszcze coś tam innego.

- Będę to wszystko miał, zobaczysz!

[...] ... muszę wspomnieć, że bywały też ściszone rozmowy, urywane z nagłą zwierzenia na widok kogoś, kto właśnie nadchodził. Byli wśród nas konfidenti.

[...] Wracając do Poziomki. Atmosfera podgrzewa się i chcemy iść dalej. Robimy desant na Stare Miasto. Na pierzei rynku od strony Wisły są Kamienne Schodki, restauracja, którą prowadziła niegdyś żona Stanisława Piętaka, majestatyczna czarnowłosa dama. Miała słabość do pisarzy i byliśmy tam życzliwie przyjmowani.

[...] Niedawno na wieczorze pamięci w rocznicę śmierci Leszka Terleckiego w Domu Literatury zaszliśmy do Poziomki w starej, mocno już uszczupionej kompanii. Był Janusz Krasiński, Jarek Abramow, Krzysztof Karasek. Niewielu nas pozostało.

Poziomki czar z tomu Nekropolis (Świat Książki, 2005, s. 33-37)

ĆWIERĆ WIEKU KŁOPOTÓW Z NOWAKOWSKIM

[...] Karą za wymowę dzieł Nowakowskiego były kolejne szykany. Z pisarzem przeprowadzano rozmowy ostrzegawcze, blokowano wydawanie książek, nęcano rewizjami. W lutym 1983 r., kiedy pisarz jechał do Poznania na spotkanie z czytelnikami, został zatrzymany na stacji w Kutnie pod pretekstem podobieństwa do złodzieja okradającego podróżnych. Następnie w jego mieszkaniu dokonano brutalnej rewizji, zabierając ponad 100 bezdebitowych książek.

Podobne działania nie przyniosły większego efektu. W maju 1983 r. Instytut Literacki w Paryżu opublikował nowy tom opowiadań Nowakowskiego zatytułowany „Raport o stanie wojennym cz. II”. I tym razem recenzja funkcjonariuszy SB była negatywna:

„... Zbiór zawiera krótkie utwory pisane prozą dla doraźnych potrzeb „czarnej” propagandy Zachodu i solidarnościowego podziemia. Utwory należą do najagresywniejszych, najbardziej zajadłych i przepojonych nienawiścią paszkwili antykomunistycznych, jakie kiedykolwiek napisał pisarz polski”.



Piotr Gontarczyk
Rzeczpospolita Plus Minus, 17-18 marca 2007 s. 8